PRZEGLĄD KRYTYCZNY.

Nr. 11. 30 Listopada. 1876.

Pedagogia.

Władysław Tekieliński: Opis dzienny szkół wileńskich, Akademii i Uniwersytetu, oraz Dyaryusz znaczniejszych wypadków w Wilnie od r. 1781 po rok 1824 nastałych, z autentycznego dokumentu ogłosił.... Wilno. J. Blumowicz, 1876. 8vo. str. XIV, 167 i 2 nl.

149] Właściwy tytuł dzieła, wydanego przez p. T. z autentycznego dokumentu, brzmi dla pierwszéj połowy: „Dzieje domowe albo opis przez dni osobliwszych dziejów i wypadków zdarzonych w szkołach wydziałowych wileńskich, zaczęty w miesiącu Wrześniu r. 1781“ (str. 5 — 120); dla drugiéj części zaś: „Opis dzienny osobliwszych zdarzeń, wynalazków i doświadczeń, w miejscu szkół czy w bliskości ich wydarzonych, oraz zapisywanie uczniów wychodzących ze szkół za patentem, zaczęte w roku 1814“ (str. 125—167). Tytułowi temu odpowiada też w zupełności treść książki. Zawiéra ona z dwiema przerwami od końca Czerwca r. 1791 do Sierpnia r. 1799, czyli przez lat 7, i od końca Kwietnia r. 1804 do Maja r. 1814, tj. przez lat 10, kronikę szkoły wydziałowéj wileńskiéj, późniejszego gimnazyum, od r. 1781—1824, a razem w krótkości podane inne wypadki znaczniejsze, które się w samym Wilnie lub pobliskiéj okolicy wydarzyły. Sprawy szkolne, jak: otwarcie uroczyste szkoły każdego roku, examina szkolne, mianowania i przeniesienie lub śmierć profesorów albo rektora, jakotéż śmierć tego, lub owego ucznia, spowiedzi w ciągu roku, z „karteczkami podług Ustaw Prześwietnéj komisyi edukacyi narodowéj“ przez studentów odprawione, procesye kościelne lub pogrzeby, w których uczniowie z profesorami i rektorem udział brali, inspekcye wizytatorów szkolnych, postępy uczniów w różnych naukach itp., zajmują naturalnie pierwsze miejsce. Na drugiém dopiéro podają autorowie kroniki, pisanéj różnemi rękami, wiadomość krótką o innych wypadkach ważniejszych, jak: sejmikach poselskich, reasumpcyach trybunału głównego, zmianach w Uniwersytecie wileńskim, powodziach i gradach z deszczem i nadzwyczajną nawałnicą, śmierci nagłéj znakomitszych mieszkańców miasta, morderstwach popełnianych w mieście lub okolicy itd.

Przy sprawach czysto szkolnych, które stanowią przeważną i właściwą rdzeń książki, znajdujemy też prawie zawsze dodatek, np. zaraz na str. 6, że to lub owo stało się na mocy „Ustaw komisyi edukacyi

narodowéj", a nawet w razie przeciwnym, np. na str. 34, że „za spólném naradzeniem się odstąpiono tu nieco od przepisu komisyi". Wszystkie téż zapiski tak spraw czysto szkolnych, jak i innych wiadomości miejscowych, zdradzają w autorach „Dziejów domowych" mężów światłych, ożywionych jak najlepszemi chęciami dla dobra nauk i kraju, idących poważnie za postępem ówczesnym i nowszemi wyobrażeniami. Rektorowie szkoły, prefekci i inni profesorowie zachęcają młodzież przy każdéj sposobności do „pilnego przykładania się do nauk", a stosując się do litery i ducha urządzeń komisyi edukacyjnéj, wdrażają zawsze w pamięć uczniów, że są przedewszystkiém „ludźmi i Rzeczypospolitéj obywatelami" (str. 5). Mężów światłych w autorach dziełka zdradzają i inne wiadomości podane. Na początku Sierpnia r. 1788 znajdujemy tu np. pośród różnych doniesień miejscowych także taką zapiskę (str. 69): „Dziwny fakt zaiste. Im surowiéj zwykło się postępować z zbrodniarzami, tém liczba takowych zdaje się bardziéj powiększać; dowodem tego w przeszłym tygodniu 6 złodziejów, dzisiaj zaś 3 za dekretem magdeburskim na szubienicę osądzonych".

Przyczynę pierwszéj przerwy w dziele, od r. 1791 — 1799, zapisał w Sierpniu r. 1799 wizytator szkolny, Józef Kossakowski, jak następuje: „Rewolucyom i nieszczęściom krajowym, a po części zaniedbaniu rządzących i dozorujących, przypisać należy siedmioletnią przerwę, którą w tém miejscu dzieje domowe szkół wydziałowych poniosły" (str. 93). To samo było przyczyną także drugiéj przerwy, od r. 1804—1814. Ubolewać nad tém bardzo należy, gdyż dzieło jest ze wszech miar interesujące, i krytycznie użyte, stanowić może nader ważny przyczynek do dziejów szkolnictwa polskiego w latach 1781—1824. Z tém wszystkiém żałujemy raczéj, że wydawca, któremu w każdym razie należy się szczere uznanie za odszukanie i ogłoszenie drukiem tak szacownego „dokumentu", nie postarał się o to ze swojéj strony, ażeby w przedmowie wyjaśnił był należycie znaczenie „Opisu dziennego", jak niemniéj że nie dodał przy końcu od siebie spisu osób i rzeczy, i że nie opatrzył dziełka w licznych nader miejscach stósownymi przypiskami, któreby czytelnikowi korzystanie z niego ułatwiały.

To bowiem, co p. T. na początku (str. V) powiada, że „na czele rękopisu autentycznego, który ogłasza w całéj prawie jego doniosłości, położony jest porządkowy Ner 7", i że zapewne inne jeszcze księgi podobnego rodzaju znajdują się w archiwach gimnazyów wileńskich, uważamy co najmniéj za niewystarczające. Zdaniem naszém liczba porządkowa 7, znajdująca się na czele rękopisu, jest tylko przypadkową, a Nr. 1—6 i 8 i następujące, jeżeli były w ogólności rękopisy, niekoniecznie zawierały także opisu dziennego szkół wileńskich; co najwyżéj zaś mogły zawie-

rać tylko opis ich po roku 1824, a nigdy przed r. 1781, z téj prostéj przyczyny, że przed tym czasem taki opis istnieć nie mógł, a szkoła wydziałowa wileńska zaczęła go prowadzić od końca Września r. 1781, tj. z rozpoczęciem roku szkolnego 178¹/₂, właśnie na podstawie rozporządzenia komisyi edukacyjnéj. Rozporządzenie takie zamieściła komisya w drukowanym na początku r. 1781 Projekcie ustaw, który na wiosnę i w lecie tego roku szkołom rozesłano, z poleceniem, żeby się odtąd ściśle do niego stósowano. W Projekcie też tym w rozdz. VIII: „Rektor wydziałowy, prorektor“, w ustępie 27 nakazała komisya, ażeby na przyszłość (tj. z rozpoczęciem roku szkolnego 178¹/₂) w każdéj szkole prefekt prowadził „opis dzienny różnych dziejów i przypadków“, dała wzór, jak opis ten wyglądać powinien, i rozporządziła, ażeby nosił tytuł: „Dzieje domowe albo opis przez dni osobliwszych dziejów i przypadków zdarzonych w szkołach wydziałowych N., zaczęty w miesiącu N., roku N.“ Szkoła wydziałowa wileńska, jak widzimy, zastósowała się też niezwłocznie do tego rozporządzenia, zaczęła opis nakazany od Września r. 1781 prowadzić, dała mu napis od komisyi wskazany, i prowadziła go zupełnie w myśl wskazówek w Projekcie ustaw zawartych, zwłaszcza, że Projekt ten w dwa lata późniéj, r. 1783, wyszedł z małemi zmianami jako Ustawy komisyi, które także w rozdz. VIII: „Rektor wydziałowy, prorektor“ i w ustępie 27 to samo polecały.

Takie jest więc znaczenie „Opisu dziennego“, wydanego przez pana T., i powód jego powstania. W obec tego też, zdaje się nam, sam wydawca przyznać musi, że przed r. 1781 szkoła wileńska w tym rodzaju prowadzonego opisu mieć nie mogła, jak niemniéj, że niepotrzebnie zmienił „autentyczny“ tytuł rękopisu i dodał wydanemu dziełu swój własny napis. Lecz musimy mu jeszcze jeden zarzut uczynić:

Przypisków właściwych, któreby czytelnikowi korzystanie z tak ważnego dzieła ułatwiały, nie znajdujemy wcale, a spotykamy się natomiast tu i owdzie z notkami, które tylko wytknąć należy. Do takich zaliczamy przedewszystkiém długi nadzwyczaj przypisek, drobnym drukiem na czterech kartkach, str. 159—167, w którym p. T. zamiast o szkole wileńskiéj, pisze tonem dosyć zgryźliwym formalny traktat przeciw „dziełom spirytycznym lub tchnącym materyalizmem“. Okoliczność, że żyjący jeszcze pisarz, pan L. R., który w Czerwcu roku 1820 otrzymał patent w gimnazyum wileńskiém, zajmuje się wydawaniem i rozpowszechnianiem dzieł podobnych, nie uprawniała jeszcze wcale wydawcy do tak niewłaściwego i niepotrzebnego przypisku. Cóż z tego, że p. T. ubolewa nad tém, że „dzieła rozprawiające o spirytyzmie znaleźć można w każdym niemal buduarze damskim“, i że „czyta je młodzież niedoświadczona“. Ubolewanie to podzielać wprawdzie możemy z wydawcą, ale czyż pan T.

sądzi, że zamieściwszy je w tak niestosownèm miejscu, osiągnie niém pożądany skutek? „Może — pisze wydawca — przytoczone uwagi wywrą wpływ zbawienny, powstrzymując nadal niedoświadczoną młodzież od czytania dzieł szkodliwych, tak niebezpiecznych w swych skutkach dla duszy i serca, tak smutne pociągających za sobą następstwa". Wątpimy bardzo, gdyż zdaniem naszém ani młodzież niedoświadczona, ani damy w buduarach nie będą czytać wydanego przez p. T. „dokumentu", który tylko specyalistów, niekiedy nawet w wysokim stopniu, zająć potrafi.

Dr. W. W.

Historya, heraldyka. — Etnografia.

Codex diplomaticus monasterii Tynecensis. Kodex dyplomatyczny klasztoru Tynieckiego, z polecenia i nakładem Zakładu narodowego imienia Ossolińskich, wydali **Dr. Wojciech Kętrzyński i Dr. Stanisław Smolka.** We Lwowie w drukarni Zakł. nar. im. Oss. 1875.

150] Jest to dawno zapowiedziany zbiór zupełny dokumentów klasztoru Benedyktynów w Tyńcu, którego pierwsza część obejmująca wieki XII, XIII i XIV okazała się nakładem Zakładu nar. im. Ossolińskich jeszcze w r. 1871, lecz dla niedostatecznéj i celom wydawnictwa nieodpowiadającéj redakcyi wycofaną została. Ponowne wydanie téj części poruczono Dr. Kętrzyńskiemu znanemu z kilku gruntownych prac badaczowi, który uprzedzając wydanie dyplomatów tynieckich w ostatecznéj redakcyi, krytyczne poglądy swe nad niektóremi z tych przywilejów w Przewodniku naukowo-literackim z roku 1874 zamieścił. Dziś mamy przed sobą cały zbiór obejmujący także dokumenta z wieku XVgo po rok 1506 jako część drugą, wyszłą z pod redakcyi Dra Stanisława Smolki, a zakończony indeksem miejscowo-osobowym tudzież spisem wyrazów polskich i niemieckich układu Dra Aleksandra Hirschberga.

Wydawca części pierwszéj, bo z nim przedewszystkiém w recenzyi niniejszéj rozprawić nam się wypada, podaje nam w obszernéj przedmowie dzieje zbiorów i dokumentów tynieckich, opisy manuskryptów odnoszących się do historyi klasztoru tynieckiego z szczególném uwzględnieniem tych rękopisów, w których się mieszczą kopie przywilejów, przedstawia prace Batowskiego około skopiowania oryginałów przechowanych niegdy w bibliotece uniwersyteckiéj lwowskiéj, tudzież usiłowania jego czynione w celu wydania kodexu tynieckiego, przechodzi następnie sposoby fałszowania i podrabiania dokumentów, wykazując w dziejach klasztoru tynieckiego trzy epoki, w których się tamże podrabianiem dokumentów trudniono, a kończy przedmowę spisem opatów tynieckich zwyczajnych i komendataryjnych.

Następnie podaje nam wydawca około 120 przywilejów w tekście

czerpanym po części z oryginałów do dziś dnia dochowanych, po części z odpisów Batowskiego lub z kopiarzy wyjętych, a po części nawet z dzieł drukowanych, które to wszystkie przywileje wydawca poddał krytyce, uznając jedne z nich za autentyczne, inne za podejrzane (8), inne wreszcie za podrobione (29). Atoli zasada jakiéj się wydawca trzymał w swych badaniach krytycznych, a którą w przedmowie w tych streszcza wyrazach „że dziesięć choćby niewinnie w wątpliwość podanych dokumentów tyle szkody nie przysporzy dziejom ojczystym, jak jeden dokument podrobiony uchodzący za autentyczny“, nie jest właściwą, bo krytyka z tego punktu widzenia pojęta i przeprowadzona nie wyczerpuje przedmiotu i nie stawia ostatecznych rezultatów. Wydawca użył do krytyki przywilejów tylko argumentów ujemnych, to jest takich, które z jakichbądź, choćby nawet mało znaczących powodów autentyczność przywileju w podejrzenie podają, pomijając zupełnie wszystkie te argumenta, które przemawiają za autentycznością onegoż. Wszelako dopiéro zestawienie argumentów *pro* i *contra* i rozważenie ich wzajemnéj ważności, może doprowadzić krytykę do ostatecznych jéj rezultatów. To téż mimo że wydawca z wielką starannością cały zasób możebnych zarzutów nagromadził, nie możemy powiedzieć, iżby co do autentyczności niektórych przywilejów tynieckich ostateczne już było wyrzeczone słowo.

Nie będziemy tu przechodzić poszczególnie wszystkich tych przez wydawcę za podrobione lub podejrzane uznanych aktów, które nam z różnych przez wydawcę pominiętych względów autentycznémi być się wydają, ile że jak nam wiadomo, Dr. Tadeusz Wojciechowski oddawna zajęty krytyczném rozpatrywaniem dziejów opactwa tynieckiego i jego przywilejów, w obszernych ramach raz jeszcze te przywileje przed sąd uczonych badaczy przedstawi, ale pozwolimy sobie na kilku grupach przywilei wykazać, że zarzuty podniesione przez wydawcę przeciw autentyczności onychże argumentami czerpanemi z samychże przywilei w przeważnéj części uchylić się dadzą.

Zaczniemy od przywilejów NN. I i XXVII.

Twierdzi wydawca, że tak przywiléj kardynała Idziego z roku 1105, jakotéż zatwierdzający go przywiléj Bolesława Wstydliwego wydany w Korczynie (w kodexie mylnie Kraków położono) r. 1275 w dzień św. Łucyi, są podrobione; a twierdzenie to opiera co do przywileju Bolesławowskiego na następnych zarzutach:

że u przywileju oryginalnego wiszą po dziśdzień trzy sznury po pieczęciach pozostałe, gdy w tekście przywileju o dwóch tylko pieczęciach jest mowa, to jest o pieczęciach księcia i księżnéj Kunegundy,

że po dokładném przyjrzeniu się sznurom jest widoczne, iż sznur

pierwszy, u którego dwa woreczki wiszą, był odcięty od innego dokumentu, i do tego przywileju sztucznie przymocowany,

że z opisu zatraconych pieczęci dokonanego przez kopistę z początku XVI wieku, okazuje się, iż tylko pieczęć księżnéj Kunegundy była autentyczną, choć jak mniema wydawca, tylko sztucznie przymocowaną, a że zamiast pieczęci Bolesława Wstydliwego wisiała odcięta od innego przywileju pieczęć Leszka Czarnego, któréj bok z napisem wedle zdania wydawcy umyślnie obtłuczono, zaś zamiast trzeciéj pieczęci, wisiał zapewne kawał wosku bez odcisku,

że wreszcie w przywileju tym znajduje się groźba ekskomuniki, którą wydawca uważa za pewną cechę falzyfikatów.

Co do pierwszego zarzutu odpowiadamy, że ową trzecią niewzmiankowaną w przywileju pieczęcią nie mogła być inna pieczęć, jeno biskupa Pawła, który téż w tekście przywileju najpierw jest wymieniony pomiędzy dostojnikami obecnymi na wiecu korczyńskim i niewątpliwie na wydanie tego przywileju przeważny wpływ wywierał. Takie roborowanie znakomitszéj wagi aktów książęcych dotyczących kościoła polskiego i jego instytucyj przez książąt kościoła, nie jest obcém naszéj dyplomatyce XIII wieku, że tu przytoczymy przywileje wydane przez Bolesława Wstydliwego dla klasztoru Cystersów w Mogile, w Krakowie w r. 1243, zaś dla katedry krakowskiéj na wiecach zawichostskim i beszowskim w roku 1255, które obok pieczęci książęcéj noszą także pieczęcie biskupa Prandoty i arcybiskupa Pełki. W innych téż dzielnicach zwłaszcza kujawskiéj, nie rzadkie tego spotykamy przykłady. Przy obecnym zaś przywileju zawieszenie pieczęci biskupa Pawła było tém konieczniejsze, ileże w przywileju zawartą była groźba ekskomuniki, która oczywiście nie pod powagą księcia, lecz tylko pod powagą biskupa tam zamieszczoną być mogła.

Że zaś to nasze przypuszczenie co do pieczęci biskupa Pawła jest usprawiedliwione, dowodzi odpowiedź, jaką zaraz niżéj dajemy wydawcy na zarzut trzeci; drugi bowiem zarzut pomijamy, ileże przymocowanie sztuczne jednego z sznurków mogło nastąpić w czasach późniejszych bez żadnego złego zamiaru, wprost aby zachować obrywający się przez starość sznurek od zatraty.

Otóż co do opisu owych trzech pieczęci wiszących niegdy u przywileju korczyńskiego, jaki się przechował w kopiarzu Dzieduszyckiego z początku XVIIgo wieku, to takowy żadną miarą nie da się wytłumaczyć w ten sposób, jak to wydawca usiłuje.

Kopista tak opisuje te pieczęcie: „u którego to przywileju wiszą „trzy pieczęcie królewskie p o d ł u ż n e g o kształtu na pasmach jedwa„bnych czerwonego koloru w woreczkach skórzanych, z których pierwsza „przedstawia wizerunek św. Stanisława biskupa krakowskiego a w otoku

„litery, które z powodu starożytności odczytać się nie „dały, druga wyobraża ołtarz N. Maryi Panny, około którego również „jakieś litery w części zepsute widoczne są. Trzecia pieczęć przywileju „z powodu starości jest zniszczona.“

Pierwsza pieczęć nie mogła być zatém pieczęcią Leszka Czarnego, jak wydawca utrzymuje, bo pieczęć Leszka Czarnego jest okrągła, a kopista mieni ją być podługowatą. Wydawca twierdzi, że brzeg pieczęci Leszka z napisem w otoku umyślnie obtłuczono, gdy tymczasem kopista widzi jeszcze cały napis w otoku, jeno go dla starożytności odczytać nie może. Zresztą co najważniejsza, pieczęć Leszka Czarnego nie przedstawia samego św. Stanisława, lecz także ołtarz, przy którym tenże święty mszę odprawia, a po drugiéj stronie ołtarza klęczący książę mszy téj słucha. Jeśli przeto kopista pieczęć św. Kunegundy nazwał ołtarzem N. Panny Maryi, choć ta pieczęć w rzeczywistości nie przedstawia ołtarza jeno Matkę Boską z dzieciątkiem na tronie, a u stóp jéj klęczącą księżnę Kunegundę, to o ileż bardziéj musiałby o pierwszéj pieczęci powiedziéć, że przedstawia ołtarz a nawet mszę świętą. Lecz snać na owéj pierwszéj pieczęci nic więcéj nie było, jeno św. Stanisław lub postać jakaś, którą kopista mógł wziąść łatwo za wizerunek świętego Stanisława. Otóż tą pieczęcią była, jak mniemamy, niewątpliwie pieczęć biskupa Pawła. Jest to pieczęć podługowata, a zatém odpowiada kształtowi przez kopistę podanemu, a w niéj przedstawiony biskup in pontificalibus na krześle trzymający pastorał w lewéj ręce a prawą wznosi do błogosławieństwa. Jest to wprawdzie wizerunek samego biskupa Pawła nie zaś św. Stanisława, lecz jeśli zważymy, że już od XVIgo wieku biskupi kładli na pieczęciach swych miasto wizerunków tarcze herbowe, a w XVIItym wieku oprócz tarcz herbowych jeszcze tylko postacie świętych na pieczęciach klasztornych i kościelnych się utrzymały, to uznamy sami za rzecz łatwo możebną, że kopista, dostrzegłszy na pieczęci postać biskupią w tak uroczystéj pozie, odniósł ją do św. Stanisława tém bardziéj, gdy nie mógł odczytać napisu w otoku dla starożytności liter, czemu się wcale dziwić nie można.

Druga pieczęć przedstawiająca jakoby ołtarz Najświętszéj Panny Maryi, była pieczęcią księżnéj Kunegundy; na to jesteśmy z wydawcą w zgodzie. Natomiast trzecią już musiała być koniecznie pieczęć Bolesława Wstydliwego, i tu spotkaćby nas mógł zarzut wydawcy, iż to musiała być inna pieczęć, jak skoro wedle kopisty wszystkie pieczęcie były kształtu podługowatego, a pieczęcie Bolesława Wstydliwego znamy tylko okrągłe. Odpada atoli ten zarzut, jeśli zważymy, że właśnie ta trzecia pieczęć była w skutek starości tak zniszczona, iż już z niéj żadnego wyobrażenia kopista podać nam nie mógł. Zapewne więc była ta pieczęć

potłuczona, a z wiszących ułomków pierwotny jéj kształt niekoniecznie mógł być widoczny, czego zresztą kopista pono nie bardzo dochodził.

Co do pisma przywileju korczyńskiego, wydawca sam uznaje, że jest starożytne i może być do XIII wieku odniesione, my zaś mając sobie udzieloną podobiznę zrobioną niegdyś przez Batowskiego, możemy zapewnić, że pismo to dobrze nam jest znane z dokumentów pochodzących z czasów Bolesława Wstydliwego, a nawet wskazać między innemi, że przywiléj wydany przez Prandotę biskupa krakowskiego w roku 1266 dla klasztoru Cystersów w Mogile (Kod. Mog. N. XXVIII) i w archiwum tegoż klasztoru przechowany, jest ręką tąż samą pisany.

Co do dostojników obecnych wydaniu przywileju Bolesławowskiego na wiecu korczyńskim, to godności Warsza kasztelana i Nieustępa wojewody krakowskich, Janusza wojewody sandomirskiego, Sasina wiślickiego, Skarbimira wojnickiego i Mikołaja bieckiego kasztelanów mamy na rok 1275 innemi wiarogodnemi przywilejami poświadczone, a tylko Mirosław z tego jednego przywileju jako kasztelan sandomirski jest znany. Nie może jednak co do jego osoby zachodzić wątpliwość, występuje on bowiem w kilku współczesnych dokumentach, mianowicie w roku 1268 jako łowczy z Kłobucka (krakowski), w latach 1269 i 1270 jako cześnik krakowski, a w latach 1271 — 1274 już jako sędzia krakowski a nawet sędzia nadworny.

Najpoważniejszym jednak jest zarzut podniesiony przeciw zagrożeniu klątwą kościelną gwałcicielom przywileju, którąto groźbę wydawca uważa stanowczo za cechę przywilejów podrobionych. W téj mierze musimy zrobić przegląd dyplomatów naszych XII i XIII wieku i zestawić poczynione spostrzeżenia. Otóż co do XIIgo wieku można przyjąć za zasadę, że każdy prawie autentyczny przywilej wydany jest pod zagrożeniem klątwy. Na 26 bowiem dokumentów z XII wieku, których oryginały w przeważnéj części po dziśdzień się dochowały, a których autentyczność nie ulega wątpliwości, dwadzieścia zawiera w sobie groźbę klątwy a tylko sześć nie. Z pierwszych przytaczamy jako przykład przywileje: księżnéj Salomei dla klasztoru mogilnieńskiego, Bolesława Kędzierzawego z roku 1149 dla klasztoru św. Wincentego w Wrocławiu i z roku 1161 dla klasztoru czerwińskiego, Henryka sandomirskiego dla klasztoru szpitalników zagojskich, Leszka mazowieckiego z r. 1185 dla kapituły kujawskiéj, Kazimirza Sprawiedliwego z r. 1178 dla klasztoru sulejowskiego, z r. 1187 dla kapituły płockiéj, z roku 1189 i drugi bez daty dla kapituły krakowskiéj, Hubalda legata z r. 1146 dla klasztoru trzemeszeńskiego, Jana arcybiskupa gnieźnieńskiego dla klasztoru jędrzejowskiego z roku 1154 i drugi bez daty, Waltera biskupa wrocławskiego bez daty i Żyrosława biskupa wrocławskiego z roku 1189 dla kościoła w Warcie, Pełki biskupa

krakowskiego z r. 1192 dla klasztoru jędrzejowskiego, Zbiluta dla klasztoru lekneńskingo z r. 1153, Monacha miechowski z r. 1198 i inne. Co więcéj, fragment o nadaniu Luszowa kapitule poznańskiéj przez Mieszka Starego uczy nas, że nawet w tych wypadkach, gdzie nadanie nie zostało utwierdzone przywilejem, klątwa publicznie w kościele ogłoszona była przeciw możebnym gwałcicielom. Natomiast w tych przywilejach XIIgo wieku, co do których się niewątpliwie wykazać da, że są fabrykatami z końca XIIIgo lub początku XIVgo wieku, jak Mieszka trzemeszeński z r. 1145, lędzki z r. 1145, nadanie małego Wronczyna z roku 1173 i Skarboszowa z r. 1188, toż w lubiąskich przywilejach Bolesława Wysokiego z lat 1175 i 1178 zagrożenia klątwą nie napotykamy.

Dla czego zaś tak starannie domieszczano w przywilejach XIIgo wieku groźbę klątwy kościelnéj, nie trudno odpowiedzieć. Prawo krajowe „*jus militare*“, owa podwalina stosunków naszych prawnych w owéj epoce, nie znało wieczystéj alienacyi dóbr dziedzicznych bez zezwolenia wszystkich krewnych. Zasady prawa kanonicznego dopiero na synodzie łęczyckim zdołały w niektórych kwestyach urzędowe wywalczyć sobie uznanie. Zwracamy uwagę na wyrok Kazimirza księcia łęczyckiego i kujawskiego z r. 1254 wydany w sprawie nadania trzech wsi katedrze kujawskiéj przez Zdzisława kasztelana władysławskiego, z którego się okazuje, że jeszcze w połowie XIIIgo wieku zasady „*juris militaris*“ co do niealienowania dóbr dziedzicznych bez zezwolenia krewnych w żywéj były pamięci. To téż tylko obawa klątwy kościelnéj mogła być skuteczną zaporą przeciw rozdrapywaniu świeżych fundacyj przez chciwych krewniaków. W miarę jednak jak wzrastał wpływ duchowieństwa od końca XII wieku, wzrastało znaczenie prawa kanonicznego wypierając prawo krajowe w sprawach, które mogły dotyczyć instytucyj kościelnych. Groźba klątwy widocznie ustępuje z przywilejów XIIIgo wieku. Jeszcze ją napotykamy w przywilejach biskupich mianowicie Pełki z roku 1207, Kadłubka z lat 1210, 1212 i 1213, Iwona z r. 1229, Michała biskupa kujawskiego z r. 1231; z roku 1233 mamy trzy podobne dokumenta Odonicza, Bolesława sieradzkiego i Kazimirza kujawskiego. W dokumentach kujawskich przeważyły odtąd wysokie kary pieniężne nakładane przez książąt na gwałcicieli przywilejów, które zapewne lepszy skutek odnosiły niż klątwa, bo pociągały za sobą pomoc księcia ściągającego kary dla swego skarbu.

Wszelako w dzielnicy małopolskiéj przez cały jeszcze przeciąg panowania Bolesława Wstydliwego spotykamy się z przywilejami, w których zawarte jest zagrożenie klątwą kościelną. Liczba tych dokumentów dojdzie może dwudziestu, a między nimi przeważna liczba wytrzyma najsurowszą krytykę. Przytaczamy tu ważniejsze z nich: przywiléj z r. 1244 dla klasztoru zagojskiego, z roku 1249 dla klasztoru wąchockiego, z lat

1254 i 1256 dla klasztoru zwierzynieckiego, z r. 1255 dla kapituły krakowskiéj, z lat 1262 i 1268 dla klasztoru koprzywnickiego, z r. 1266 dla klasztoru w Skale, z r. 1270 dla klasztoru staniąteckiego, z roku 1257 przywilej lokacyjny miasta Krakowa, a z roku 1271 przywilej lokacyjny miasta Jędrzejowa. Najbardziéj charakterystyczne są przywileje wąchocki z r. 1249 i skalski z roku 1266, w których książę biskupa krakowskiego o rzucenie klątwy wzywa.

Widzimy więc, że zagrożenie klątwą kościelną nie może być uważane samo przez się za cechę podrobionego przywileju, skoro takowe znajduje się prawie zasadniczo w autentycznych przywilejach z w. XIIgo, a w przywilejach małopolskich z wieku XIII dość często: — w obec czego musimy windykować niezaprzeczoną autentyczność dla przywileju Bolesława Wstydliwego wydanego w Korczynie r. 1275, jeśli nie mamy równocześnie puścić w wątpliwość całego niemal zasobu dyplomatycznego z wieku XII i choć niewielkiéj, to jednak co do treści nader ważnéj grupy przywilejów małopolskich z w. XIII.

Przechodząc do przywileju kardynała Idziego, nad którym tylu już uczonych badaczy zdanie swe objawiło, podnosi wydawca następujące zarzuty przeciw autentyczności onegoż:

że papież Kalikst II, którego Idzi mieni się być legatem, zasiadał na stolicy apostolskiéj od 3go Lutego 1119 do 13go Grudnia 1124, a Radost biskup krakowski współuczestnik przy wydaniu przywileju objął katedrę biskupią dopiéro w r. 1118, wreszcie Władysław syn Krzywoustego urodził się około roku 1104, zatém osoby te nie mogą się zgodzić z datą przywileju t. j. z rokiem 1105, który znowu nie może być omylonym, gdyż go indykcya i epakta uwierzytelniają,

że sama stylizacya przywileju jest tak bałamutną, iż jéj trudno przypisać kardynałowi legatowi,

że wreszcie pomiędzy posiadłościami wyliczonemi w przywileju jako własność klasztoru tynieckiego znajdują się takie, które podówczas albo nie istniały, albo dopiéro znacznie późniéj na własność klasztoru przeszły, a mianowicie:

B r z o s t e k, z którego dopiero w r. 1258 część pewną Bolesław Wstydliwy klasztorowi nadał, reszta zaś pozostała własnością książęcą, gdyż na niéj król Władysław Jagiełło w r. 1394 miasto założył, tudzież

P i l z n o, którego założenie w r. 1354 wydawca Kazimirzowi Wielkiemu przypisuje i wnosi, że dopiero w tym czasie prawdopodobnie od czeskich kolonistów nazwę swą otrzymało.

Pierwszy i najważniejszy zarzut jest uzasadniony. Z rokiem 1105 bowiem ani papieża Kaliksta IIgo, ani biskupa Radosta, ani Władysława syna Krzywoustego pogodzić żadną miarą nie można. Byłaby ta okoliczność

dostateczną, aby przeważyć szalę za zdaniem tych, którzy w przywileju Idziego podróbkę późniejszych upatrują czasów, gdyby z samego przywileju nie przemawiały tak wymowne, tak stanowcze względy przeciw podobnemu przypuszczeniu, iż nam raczéj nakazują skierować wszelką usilność, aby ową sprzeczność co do roku wyjaśnić i usunąć, niż kusić się o potępienie przywileju, który będąc najdawniejszym tego rodzaju pomnikiem naszym historycznym, już z tego powodu bądź co bądź na największą pilność zasługuje.

Temi stanowczemi momentami, które nas do obozu obrońców przywileju Idziego przeciągają, są świadkowie w tym akcie przytoczeni, tudzież sposób traktowania przedmiotu przywilejem objętego.

Są zaś ci świadkowie: Skarbimir, Wojsław, Poztig, Andrzéj, Sulek z synem Marcinem, Prandota i Diwigor, nie tylko spółcześnikami między sobą, ale téż spółcześnikami przywileju Idziego, dla którego ze względu na papieża Kaliksta II i biskupa krakowskiego Radosta datę między rokiem 1119 a 1124 windykować musimy. I tak Skarbimir znany palatyn Krzywoustego, jest postacią historyczną, nie potrzebujemy się przeto więcéj nim zajmować. Wprawdzie roczniki zapisują, iż z powodu buntu oślepiony został na rozkaz księcia w r. 1117 czy téż w 1118, lecz mógł być następnie przywrócony do łaski i świadkować jeszcze za Idziego.

Wojsław wspomniany jest między uposażycielami katedry wrocławskiéj w bulli protekcyjnéj Hadriana IVgo z r. 1155.

Andrzéj świadkuje z innymi komesami na przywileju księżnéj Salomei wdowy po Krzywoustym, wydanym dla klasztoru mogilnieńskiego; drugi raz czytamy go w przywileju Kędzierzawego z r. 1149, gdzie występuje między uposażycielami klasztoru św. Wincentego w Wrocławiu jako nadawca wsi Wawrzeńczyc.

Sulek czyli Sulisław wspominany jest w tymże przywileju Kędzierzawego jako nadawca włości Pełcznice i Żorawa klasztorowi św. Wincentego, a w bulli Hadriana IVgo z r. 1155 jako nadawca wsi Sulisławice i Kotuchów.

Marcin syn jego znajduje się między świadkami na przywileju Jana arcybiskupa gnieźnieńskiego z r. 1154 wydanym dla klasztoru jędrzejowskiego, jest także obecnym w r. 1161 przy konsekracyi kościoła w Łęczycy, a w przywileju z tego powodu przez Kędzierzawego i Henryka sandomirskiego wydanym między świadkami wprost jest Marcinem Sułkowiczem zwany. Do niego to prawdopodobnie odnosi się także wspomnienie między uposażycielami klasztoru Benedyktynów sieciechowskiego w przywileju Bolesława Wstydliwego z r. 1252.

Prandota protoplasta fundatorów klasztoru mogilskiego zapisany jest

na Zbyluta przywileju fundacyjnym klasztoru lekneńskiego z r. 1153 jako nadawca wsi Jerenice.

Diwigor wreszcie przytoczony jest jako nadawca wsi Wojowo klasztorowi św. Wincentego w Wrocławiu w przywileju Kędzierzawego z r. 1149.

Tylko co do Poztiga nie zdołaliśmy żadnéj daty odszukać.

Zapytujemy teraz, czy możemy przypuścić, że to fałszerz XIIIgo czy też XIVgo wieku zdołał z tych różnych i po różnych dzielnicach kraju rozrzuconych dokumentów wyzbierać tak starannie spółczesnych kardynałowi Idziemu świadków, aby nimi nadać pozór autentyczności podrobionemu przez siebie dokumentowi? czy zebranie tych nazwisk świadków byłoby w owych czasach o utrudnionéj komunikacyi a jeszcze trudniejszym przystępie do przywilejów kościelnych i klasztornych zazwyczaj w skarbcach przechowywanych, w ogóle możebném? i czy w tym celu warto było jakikolwiek mozół przedsięwziąść, skoro w ówczesnych sądach tego rodzaju krytyka autentyczności dokumentów była nieznaną?!

Obok téj tak doniosłéj okoliczności co do świadków, na równe uwzględnienie zasługuje stylizacya dokumentu Idziego w tém miejscu, gdzie jest mowa o prawach i posiadłościach klasztoru tynieckiego. Są tu mianowicie nie tylko podane wsie do klasztoru należące, ale także imiennie wyszczególnieni poddani do tychże wsi przypisani. Tego rodzaju imienna specyfikacya ojczyców jest właściwością najdawniejszych naszych dyplomatycznych pomników, że tu wspomnę bullę Innocentego IIgo dla arcybiskupstwa gnieźnieńskiego z roku 1136, Hadriana IVgo bullę dla biskupstwa wrocławskiego z roku 1155, Henryka sandomirskiego przywilej fundacyjny zagojski, tudzież Bolesława Kędzierzawego przywilej dla klasztoru mogilnieńskiego. Natomiast nie znajdujemy jeszcze żadnéj wzmianki o libertacyi od licznych powinności i danin książęcych, od sądownictwa wojewodzińskiego i kasztelańskiego itd., tak jak nie ma wzmianki o tych wszystkich rzeczach w autentycznych przywilejech z połowy XIIgo wieku. Tymczasem gdyby przywiléj Idziego, jak chce wydawca, rzeczywiście powstał dopiéro w początkach XIVgo wieku, a choćby nawet w wieku XIII, nie byłby fałszerz niewątpliwie zabawiał się specyfikacyą nazwisk pierwotnych osadników w posiadłościach klasztoru, które już wówczas żadnéj nie mogły mieć faktycznéj wartości, ale natomiast nie byłby omieszkał wyszczególnić całego szeregu danin i uciążliwości jak przewody, podwody, powozy, powołowe, krowne i t. d., od których poddani klasztorni byli uwolnieni, nie byłby pominął różnych wyłączeń juryzdykcyjnych, przepisów co do poboru kar sądowych i t. d. co wszystko w przywilejach XIII i XIV wieku najrdzenniejszą część stanowiło.

Przechodząc do drugiego zarzutu mianowicie bałamutnéj stylizacyi przywileju Idziego, zwracamy uwagę, że stylizacya wstępu i zakończenia

nic do życzenia nie pozostawia. Mniéj potoczystą jest część środkowa, gdzie się poczyna wyszczególnienie praw i posiadłości klasztoru. Ale tu na obronę kardynała musimy zaznaczyć, że spisywał prawa i stosunki naszym pierwotnym urządzeniom społecznym właściwe, które dla niego jako cudzoziemca zupełnie były niezrozumiałe, i co do których musiał zapewne zastósować się do notatki, jaką dlań w klasztorze w tym celu wygotowano, tak, iż nam redakcyę téj części przywileju raczéj do którego z mnichów tynieckich niż do kardynała odnieść wypada.

Najsłabszym atoli jest trzeci zarzut podniesiony przez wydawcę co do miejscowości Brzostka i Pilzna, które nie miały być własnością klasztoru tynieckiego.

Co do Brzostka, to z przywileju Bolesława Wstydliwego z r. 1258 nie okazuje się wcale, jakoby klasztor tyniecki dopiéro tym przywilejem pierwszą własność w Brzostku nabył, a reszta téj miejscowości pozostała książęcą własnością. Owszem, treść przywileju na wprost przeciwny domysł nas naprowadza. Jeśli bowiem klasztor tyniecki zgodził się, aby kawał ziemi położony przy kościele św. Floryana pod samym Krakowem, świeżo podówczas na prawie niemieckiem lokowanym, a zatém w najkorzystniejszém miejscu, gdzie z łatwością mógł być dobrze spieniężonym, odstąpić księciu w zamian za pustkę w Brzostku położoną, toć oczywiście musiała ta pustka przylegać do znacznych posiadłości klasztornych, gdyż jak wiadomo, w owych czasach nawet wsie całe, jeśli zbyt były oddalone, dla braku komunikacyi żadnych klasztorom nie przynosiły korzyści. Zdaje się więc, że klasztor właśnie dla tego, iż w Brzostku miał już posiadłości, wziął w zamian ową pustkę, aby ją do tych posiadłości przyłączyć. Natomiast dla księcia musiała ta pustka miéć małą wartość, z większéj bowiem posiadłości byłby jéj pewnie nie wydzielał. Z przywileju téż nie okazuje się wcale, iżby książę jeszcze jakieś obszary w Brzostku posiadał, a wyrazy *„que castellature de Voynich pertinebat“* nie do *„villa Brzostek“* lecz do *„terra vacans“* odnieść należy.

Natomiast mylnie wydawca odnosi przywilej Władysława Jagiełły z r. 1394 do Brzostku. W przywileju tym bowiem jest mowa o „Małym Brzostku“, a zatém o innéj zupełnie miejscowości. Przymiotniki mały, duży, stary, nowy dodawano do nazw miejscowości wtedy tylko, jeśli było dwie miejscowości jednéj nazwy. Działo się to zaś najczęściéj wtedy, jeśli na gruntach dawnéj wsi zakładano wieś nową prawem niemieckiém, wtedy stara osada zatrzymywała dawną nazwę, a osada nowa dla odróżnienia od tamtéj nazywała się nową, małą, a najczęściéj wolą. Ztąd téż mamy wiele takich miejscowości, co się zwą Nowa wieś, Nowe miasto, Wola i t. d. nawet Kraków miał w XIV w. swoje nowe miasto założone między klasztorem św. Andrzeja a Zamkiem

i zwało się „Nowe miasto Kraków“. Mały Brzostek zaś znaczy tyleż co nowy Brzostek, lub co Wola Brzostecka, a istnieje po dziśdzień ta Wola Brzostecka tuż pod samym Brzostkiem. Tymczasem Brzostek jest, o ile sięga dyplomataryusz, ciągle w posiadaniu klasztorném, trudno zaś przypuścić, iżby klasztor zdołał na zasadzie jakiegoś fałszywego przywileju wyprocesować od króla osadę tak znaczną.

Również nie uzasadniony jest zarzut wydawcy co do Pilzna, co do którego wydawca dał się uwieść niedokładnéj notacie Balińskiego i Lipińskiego. Mamy już bowiem ogłoszone w dyplomataryuszu małopolskim dwa dokumenta z XIVgo wieku, które Pilzno jako niewątpliwą własność klasztoru tynieckiego stwierdzają. Pierwszy z r. 1328 przechowany w oryginale w archiwum miasta Krakowa, obejmuje przeniesienie wsi Pilzno na prawo szredzkie przez Michała opata tynieckiego, oraz nadanie sołtystwa w takowéj niejakiemu Ursowi; drugi króla Kazimierza z r. 1354 oblatowany jeszcze w roku 1424 w księdze drugiéj wyższego prawa magdeburskiego, jest ten sam, z którego zrobili notatę Baliński i Lipiński w Starożytnéj Polsce. Przywilejem tym nadaje król Kazimierz Pilznu prawo miejskie krakowskie na prośbę Jana opata tynieckiego. Autorowie „Starożytnéj Polski“ opuścili ten dodatek, iż król wydaje przywilej na prośbę opata tynieckiego, przez co wydawca sądził się uprawnionym do twierdzenia, że Pilzno było własnością królewską.

Że zaś nazwa téj miejscowości nie pochodzi wcale, jak mniema wydawca, dopiéro z XIVgo wieku i to od kolonistów czeskich, dowodzi spisek uposażenia kolegiaty sandomirskiéj z roku 1191, gdzie już i Pilzno, jako oddające dziesięcinę tejże kolegiacie jest wymienione.

Cóż więc ostatecznie sądzić mamy o autentyczności przywileju kardynała Idziego, gdy krom zarzutu co do sprzeczności daty z osobami w przywileju powołanemi, inne zarzuty nie mają podstawy, a za autentycznością tak przeważne przemawiają powody? Mamyż go uważać mimo to za podrobiony? ale w takim razie musielibyśmy odnieść podrobienie do pierwszéj połowy XII wieku, bo tego wymaga styl przywileju i świadkowie, których fałszerz pamiętaćby jeszcze musiał, bo wiadomości o nich znikąd nie mógł zaczerpnąć; lecz tu znowu nasuwa się pytanie, czemu fałszerz nie podrobił wprost przywileju książęcego na owe posiadłości klasztoru, jeno wolał je mieć potwierdzone przez legata?

Przejdźmy do innéj grupy dokumentów, mianowicie do dokumentów NN. IX, XVII i XX. Z tych uznaje wydawca bullę Grzegorza IX z Perugii r. 1229 datowaną i przywiléj Bolesława Wstydliwego wydany w Bochni r. 1258 za autentyczne, zaś przywiléj tegoż księcia z r. 1234 za podrobiony. Tymczasem właśnie tekst bulli Grzegorza IXgo tak jak go wydawca ogłasza budziłby najwyższe podejrzenie, gdyby nie było widocznem,

że tu mamy z grubą myłką kopisty do czynienia, na którą wydawca nie zwrócił uwagi. Mianowicie potwierdza Grzegorz IXty klasztorowi tynieckiemu nadaną przez Grzymisławę za wzorem Kazimirza Sprawiedliwego ludziom z posiadłości klasztornych położonych nad Wisłoką, Białą i Dunajcem, swobodę do daniny zwanéj *„slone“*. Znane nam są dokładnie wszystkie nazwiska danin poddańczych istniejących w dzielnicach polskich w wiekach średnich, powtarzają się one niemal w każdym dokumencie z XIII i XIV wieku, ale daniny *„slone“* zwanéj nie napotkaliśmy nigdzie, a nawet nie podobna sobie wyobrazić, w czemby jéj istota polegać mogła. Wyjaśnia nam to atoli przywilej Bolesława Wstydliwego z r. 1234 przez wydawcę uznany za podrobiony, z którego się okazuje, że tu chodzi o daninę „s t r ó ż ę“, że zatém kopista mylnie *„slone“* zamiast „s t r o z e“ odczytał. Wprawdzie w takim razie trudno się zgodzić na objaśnienia wydawcy zamieszczone przy téj bulli, że *„Visloca“* znaczy zapewne młyn nad rzeką Wisłoką pod Brzyską, a *„Dunaies“* zdaje się być to samo co Opatkowice nad Dunajcem; lecz mylność tego objaśnienia już na pierwszy rzut oka się okazuje, a wydawcy znającemu dokładnie topografię posiadłości tynieckich nie powinno było ujść uwadze, że najcelniejszy kompleks tych posiadłości jak Tuchów, Pilzno, Brzostek, Zdonia, Siepietnica, Bezdziedza, Szebnie, Dęborzyn i Kołaczyce, leżał właśnie w międzyrzeczu pomiędzy rzekami Dunajcem, Białą i Wisłoką lub po drugim brzegu Wisłoki, że zatém ustęp w bulli papieskiéj *„hominibus de V i z l o c a, B a l a et D u n a i e s villarum monasterii“* nie można inaczéj tłómaczyć jak „osadnikom wsi klasztornych położonych nad Wisłoką, Białą i Dunajcem“.

Po takiém sprostowaniu i objaśnieniu bulli Grzegorza IX, przywilej Bolesława Wstydliwego z roku 1234go, jako będący z nią w ścisłym przedmiotowym związku zyskuje na powadze. Chodzi tu o téż samą „stróżę“, od któréj osadnicy wsi klasztornych położonych w ziemiach s a n d o m i r s k i é j i w i ś l i c k i é j byli od dawniejszych czasów uwolnieni, co poświadczyli stary Pakosław syn Lasoty naówczas kasztelan krakowski i Wojciech syn Stępoty kasztelan wiślicki, a co się zgadza zupełnie tak z bullą Grzegorza IX wyżéj wzmiankowaną, jakotéż z przywilejem Idziego. Że zaś pod wsiami klasztornemi położonemi wedle brzmienia tego przywileju w ziemiach sandomirskiéj i wiślickiéj znowu nie inne są rozumiane jak te, które wedle bulli Grzegorza IXgo leżały nad rzekami Wisłoką, Białą i Dunajcem, dowodzi ta okoliczność, że to międzyrzecze należało i późniéj zawsze do województwa sandomirskiego, zaś inne posiadłości klasztorne położone w ziemi krakowskiéj nie należały podówczas pod jurysdykcyę Bolesława Wstydliwego, lecz Henryka Brodatego, który ziemię krakowską trzymał.

Zarzuty podnoszone przeciw autentyczności przywileju Bolesława Wstydliwego z r. 1234 nie dadzą się usprawiedliwić. O piśmie lub kolorze atramentu oczywiście sądzić nie możemy, bośmy nie mieli sposobności oglądania oryginalnego przywileju, ale możemy coś powiedzieć o starym Pakosławie synie Lasotowym i Wojciechu synie Stępoty.

Wydawca twierdzi, że Pakosław stary nie mógł być w roku 1234 kasztelanem krakowskim, bo był nim w latach 1222 i 1223, a po nim jeszcze w r. 1223 nastąpił Ostasz, w r. 1230 Klemens, w r. 1231 Jakób, a w r. 1238 inny Klemens dawniejszy kasztelan ryczyński, że natomiast Pakosław starszy był od r. 1231—1243 kasztelanem wiślickim, zaczém Wojciech syn Stępoty tejże kasztelanii w r. 1234 trzymać nie mógł. Otóż nasuwa się najprzód słuszna uwaga, że skoro nie mamy żadnéj daty, kto był kasztelanem krakowskim między r. 1231 a 1238, nie możemy stanowczo utrzymywać, iż nie był nim Pakosław stary. Tym zaś ostrożniejszymi być musimy co do dostojników z tych czasów, gdy właśnie w tych kilku latach od śmierci Leszka Białego aż trzech pretendentów z różném powodzeniem ubiegało się o dzielnicę małopolską, mianowicie Władysław Laskonogi, Henryk Brodaty i Konrad mazowiecki, a każdy miał swoich stronników, którym godności rozdawał, a oprócz tego istniało jeszcze czwarte dość silne stronnictwo Grzymisławy i Bolesława Wstydliwego. W takich warunkach trudnoby znaleźć choć jednego z znaczniejszych dostojników, któryby urząd swój utrzymał bez przerwy wśród tak zmiennych kolei. Jeśli zaś widzimy Pakosława Starego owego niewątpliwie najprzemożniejszego małopolskiego możnowładcę na kasztelanii krakowskiéj, a zatém po stronie również najmożniejszego z książąt dobijających się o małopolską dzielnicę i opiekę nad Bolesławem Wstydliwym, Henryka Brodatego, toć musimy to zresztą uznać jako rzecz naturalną. Rozcina wszelako wszelką wątpliwość w tym kierunku przywilej Henryka Brodatego z tegoż samego roku 1234, przechowany w oryginale w archiwum prowincyonalném poznańskiém, którymto przywilejem książę zatwierdza zamianę wsi Mirawy za Lubnicę dokonaną między Klemensem kasztelanem ryczyńskim a rycerzem Iwonem. Przy końcu przywileju czytamy „*presidente domino Vislao Cracouie in cathedra pontificali, Pakoslao autem Cracouiam tenente*“. Mamy tu więc dowód, że w roku 1234 był istotnie Pakosław kasztelanem krakowskim, a Klemens późniejszy jego następca był jeszcze kasztelanem ryczyńskim.

Co do kasztelanii wiślickiéj jest to proste przypuszczenie wydawcy, że Pakosław starszy dzierżył tę kasztelanię od r. 1231 do 1243. Dokumenta bowiem podają nam tylko datę z r. 1231 co do Pakosława starszego, a potém znowu aż datę z r. 1243 co do Sąda. Ale jak długo jeszcze po roku 1231 był Pakosław starszy kasztelanem wiślickim, i czy

bezpośrednio po nim, oraz w którym roku nastąpił Sąd, tego dokumenta nam nie podają.

Natomiast niepomiernéj wagi dla autentyczności przywileju Bolesława Wstydliwego z r. 1234 jest ta okoliczność, iż z dwudziestu przeszło świadków na przywileju zapisanych, o których jako nie piastujących żadnych godności, trudno z innych dokumentów mieć wiadomość, przecież prawie wszyscy dadzą się wykazać jako współcześnicy. I tak znani nam są Przecław Zaja z lat 1230 i 1231, Żegota z lat 1221, 1224 i 1238, Andrzéj syn Żegoty z r. 1238, Andrzéj syn Sułka z l. 1220, 1224, 1238, Smyl syn Żegoty z r. 1246, Piotr Nosaty z r. 1224, Włodzimirz z lat 1230, 1235 i 1237, obaj Klemense z lat 1231 i 1237, Strzeszek z lat 1224, 1228, 1229, 1230, 1234, Jureta z roku 1222, Getko z lat 1230, 1231, 1234, Witek z lat 1234, 1238 i 1243, Przybysław z lat 1238 i 1243 i t. d. Byli to oczywiście stronnicy Bolesława Wstydliwego, znaczna ich téż część dostąpiła w późniejszych latach kasztelańskich i wojewodzińskich godności.

Mamyż przypuścić, że to fałszerz zdołał tylu świadków spółczesnych po różnych odszukać przywilejach?

Zarzutu co do groźby klątwą kościelną nie będziemy tu ponownie odpierać, wyczerpawszy już przy dokumencie korczyńskim przedmiot ten dostatecznie, ale pozwolimy sobie zwrócić uwagę na stylizacyę dokumentu *„ego Boleslaus“*, co jest ważną cechą autentyczności onegoż, gdyż właśnie ku końcowi czwartego dziesiątka XIII wieku poczęto zwolna zaimek *„ego“* zamieniać na *„nos“*. Fałszerz późniejszych czasów byłby tu niewątpliwie położył *„nos Boleslaus“*.

Zdaje się, że do tego samego przedmiotu, o którym traktuje wspomniana wyżéj bulla Grzegorza IX z r. 1229 i przywilej Pudyka z r. 1234, odnosi się także przywilej tegoż księcia z r. 1258 N. XX. Jest w tym przywileju mowa, że gdy k a s z t e l a n w o j n i c k i od poddanych klasztoru tynieckiego przed trybunałem księcia domagał się daniny rokrocznéj dwóch łupieży wiewiórczych sposobem podworowym, księżna Grzymisława na świadectwo wezwana potwierdziła, iż ludzie owi do daniny téj nigdy nie byli obowiązani. Otóż do jurysdykcyi kasztelana wojnickiego należeli właśnie owi osadnicy z porzecza Dunajca, Biały i Wisłoki, jak to zresztą z przywileju N. XXI się okazuje; a interwencya księżnéj Grzymisławy na rzecz poddanych klasztoru żywo nam przypomina treść bulli Grzegorza IX.

Z rozpatrzenia tych kilku przywilei przekonywamy się, że krytyka autentyczności dokumentów tynieckich nie jest jeszcze wyczerpaną, musimy atoli przyznać, że jest ona dopiero teraz na seryo możliwa, odkąd

wydawca ogłoszeniem poprawnych tekstów, staranném zestawieniem waryantów i różnorodnemi objaśnieniami drogę do tego utorował.

Znanym jest pospolicie frazes, że łatwiéj krytykować jakieś dzieło, niż je napisać. Podzielamy w zupełności to zdanie. To téż uwagi nasze w niniejszéj recenzyi zawarte nie mają w niczém uwłaczać naukowéj zasłudze wydawcy, jaką sobie zjednał wydaniem kodexu tynieckiego; a jeśli niektóre krytyczne jego zapatrywania wystawiliśmy na próbę, uczyniliśmy to w tém przekonaniu, że temu, kto zbadanie prawdy historycznéj za cel sobie stawia, przyjemniejszy rozhowor naukowy od dytyrambów pochwalnych.

Niech nam będzie wolno zamieścić tu jeszcze kilka uzupełnień i sprostowań.

Pod N. XVI ogłosił wydawca wyrok Tomasza biskupa wrocławskiego i innych sędziów z r. 1234 z oryginału przechowanego w archiwum wrocławskiém. Są właściwie dwa oryginalne egzemplarze tego wyroku, spółczesne, jednobrzmiące. Oglądaliśmy je obadwa w archiwum pomienioném. Tekst jest zupełnie zgodny z tym, który wydawca podaje, okrom trzech wyrazów, mianowicie wieś „Czense“ jest w oryginałach oba razy pisana „G z e n s e“, a między świadkami zamiast „Gozinno“ jest „G o z u i n o“, a zamiast „de Lofin“ jest „de l o s i n“. Pieczęcie téż przy drugim egzemplarzu, na pąsowych jedwabnych zawieszone sznurkach, w daleko lepszym są stanie, niż u oryginału, z którego wydawca kopię otrzymał. Pierwsza pieczęć Grzegorza proboszcza szkalmirskiego wyobraża dwa półpierścienie czy też podkowy, jedna nad drugą przez środek krzyżem przecięte. W otoku napis: † S'GREGORII; druga Tomasza bisk. wrocł. przedstawia postać biskupią z pastorałem. W otoku napis cokolwiek uszkodzony: ...HOME DI GRA WRATISLAVIEN ..... Trzecia wyobraża głowę świętego Jana Chrzciciela; w otoku napis: † SIGL' CAPITVLI ECCL'E SCI † IOHANNIS·BAPTISTE. Czwarta wreszcie przedstawia osobę mnicha z krzyżem w prawéj ręce, książką na piersiach w lewéj. W otoku napis: † S'MAGRI REGINALDI ARCHID' SCE CRVCI.. OP... Wszystkie pieczęcie w ciemnowiśniowym miąszu wyciśnięte.

Pod N. XXVI ogłosił wydawca dokument Kozmasa opata tynieckiego z r. 1274 dotyczący założenia wsi Bronowic prawem niemieckiém, którego oryginał znajduje się w archiwum uniwersytetu krakowskiego, a który wydawca zrazu podejrzanym, a następnie w dodatkach wprost podrobionym nazywa. Między powodami, które go do tego skłaniają, jest i ten, że pieczęcie wiszące u tego przywileju nie pochodzą z wieku XIII lecz z w. XVIgo. Otóż, jeżeli zdanie nasze co do pieczęci może mieć jakąkolwiek wartość, to możemy zapewnić wydawcę, że nie tylko pieczęcie te pochodzą rzeczywiście z XIII w., ale nawet, że jedna z nich, miano-

wicie pieczęć kapituły tynieckiéj, pochodzi z początku w. XIIIgo. Rzeźba tych pieczęci wypukła nosi niezaprzeczone cechy XIII wieku na sobie i nic nie ma wspólnego z rzeźbą pieczęci wieku XVIgo. Obie te pieczęcie znajdują się w odlewach galwanoplastycznych w zbiorach zakładu Ossolińskich, mianowicie pod liczbami 20 i 26, i prosimy wydawcę by je porównał z innemi pieczęciami XIIIgo w. np. z pieczęcią Nankera biskupa lubuskiego z r. 1250 N. 303, a znajdzie jeśli nie toż samo dłuto, to pewnie rażące podobieństwo z pieczęcią opata tynieckiego. Co do pieczęci kapituły tynieckiéj to mamy jeszcze inny dowód jéj autentyczności. Wisi ona bowiem przy zapisie kompromisarskim opatów tynieckiego, łysogórskiego i mogilnieńskiego wydanym w Siewierzu r. 1233, a przez wydawcę pod N. XV zamieszczonym. Zapisu tego dwa egzemplarze oryginalne znajdują się w archiwum wrocławskiém, oba wraz z pieczęciami dokładnie opisał Mosbach, o czém wiedział wydawca, bo cytuje Mosbacha, lecz czemu na opis pieczęci nie zwrócił uwagi? A jest ta pieczęć dla tego nie pospolitéj wagi, że w niéj znachodzi się już tytuł kapituły tynieckiéj, gdy wydawca pierwsze pojawienie się téj kapituły dopiéro do roku 1392 odnosi, i ztąd na przywileje wcześniejsze, w których o kapitule klasztornéj jest mowa, podejrzenie rzuca.

Przy dokumencie N. XXXIII z roku 1287 wydawca biorąc asumpt z opisu Batowskiego, wedle którego pieczęć biskupa Pawła miała być z wosku czerwonego, uznaje dokument powyższy między innemi także z tego tytułu za podrobiony. Otóż rzecz ta wymaga objaśnienia.

Dwojaki rodzaj zabarwiania pieczęci znany jest w sfragistyce naszéj w wiekach średnich. Albo w skorupę z zwykłego wosku wtłaczano płatek wosku kolorowego, najczęściéj czerwonego i na nim pieczęć odciskano, albo téż cała skorupa wraz z odciskiem pieczęci z jednostajnie zabarwionego robioną była wosku. Pierwszy sposób używany pospolicie aż do najpóźniejszych czasów, nie jest jednak znany u nas dawniéj nad koniec XIII wieku; drugi sposób natomiast używany był pospolicie na Szląsku już od początku XIII wieku. Archiwum wrocławskie bardzo wiele pieczęci w ten sposób zabarwionych przechowuje. Są one bądź ciemno wiśniowego, bądź cynobrowego, bądź ciemno zielonego koloru. U naszych dokumentów tak zabarwione pieczęcie należą do wielkich rzadkości; dotychczas mieliśmy sposobności oglądania zaledwo kilku dokumentów z XIIIgo wieku podobnemi pieczęciami opatrzonych, mianowicie dokument z r. 1231 z pieczęcią Mściwa wojew. wiślickiego w czarnym wosku, dokument z r. 1236 z pieczęcią Sąda Dobiesławicza kasztelana wojnickiego w różowym wosku, dokument z r. 1286 z pieczęcią oficyała krakowskiego w czerwonym wosku, przywilej fundacyjny miasta Krakowa z r. 1257 z dwiema pieczęciami w ciemnozielonym wosku.

Otóż Batowski nie opisuje w jaki sposób pieczęć biskupa Pawła zabarwioną była, nie jest więc wykluczoną możność, że była zabarwioną w sposób drugi, a w takim razie nie budziłaby podejrzenia.

Inaczéj się rzecz ma z napisem w otoku, bo ten jest nieco odmienny, ale zachodzi pytanie, czy Batowski dobrze czytał pieczęcie.

Co do dokumentów przedrukowanych z innych dzieł, mianowicie z Theinera Monumentów i Nakielskiego Miechowii, mniemamy, że wydawca co do tych przynajmniéj, które nie dotyczą w niczém klasztoru tynieckiego i tylko opat tyniecki jako komisarz stolicy apostolskiéj w nich występuje, jak n. p. NN. III, XXV, LV, LVI, LXII, XCIII i CXV do prostego regestu mógł się ograniczyć, natomiast wypadało postarać się o kopię dokumentu N. LI z r. 1329, którego tylko wyciąg z dyplomataryusza mogilskiego przedrukowano, ileże dokument ten w całéj osnowie dotyczy klasztoru tynieckiego.

Ponieważ kilka z tych dokumentów, które wydawca za podejrzane lub podrobione uważa, przechowały się podziśdzień w oryginałach, byłoby rzeczą bardzo właściwą, gdyby wydawca domieścił był podobizny tych dokumentów lub przynajmniéj wzory pisma. Byłoby to umożebniło porównanie pisma z współczesnemi autentycznemi dokumentami w innych archiwach przechowanemi. —

W drugiéj części kodexu obejmującéj dokumenta po rok 1506, wyszłéj z pod starannéj redakcyi Dra Stan. Smolki, wolelibyśmy byli widzieć niektóre obszerne mniejszéj wagi akta zamieszczone tylko sposobem regestowym, natomiast bardzo pożądaną byłoby było rzeczą zamieścić choćby prosty wykaz wszystkich późniejszych dokumentów klasztoru aż do ostatnich chwil jego istnienia, podając ważniejsze akta w obszerniejszych regestach, a najważniejsze nawet w dosłownym tekście, jak to uczynił wydawca kodexu mogilskiego. Mielibyśmy ciągłość materyałów do historyi klasztoru tynieckiego, a tak nie możemy się spodziewać, iżby te późniejsze akta jeszcze kiedy ukazać się mogły, bo zapewne i treść ich nie jest tak ważną, iżby usprawiedliwiła osobne ich wydanie.

Redakcya drugiéj części oparta na tych samych zasadach co części pierwszéj, nie przedstawiała już bez porównania tak wielkich trudności, z liczby przeszło stu pięćdziesięciu dokumentów w téj części zawartych wydawca uznał tylko trzy za podejrzane, a dwa za podrobione.

Wykaz osobowo miejscowy ułożony przez Dra Hirschberga, acz świadczący o wielkiéj pracowitości, nie może nas jednak zadowolnić. Utrudnia on nam poszukiwania niepotrzebnemi odsyłaczami. Tak np. pragnąc odszukać księdza Andrzeja Bukowskiego, szukamy naprzód pod „*Andreas*“, tam nas wydawca odsyła: „*vide* Buk“. Szukamy pod „Buk“, a tam znowu zamiast daty i stronicy znajdujemy drugi odsyłacz „*vide*

Orchowo *plebanus*". Dopiéro więc pod „Orchowo" znajdujemy księdza Bukowskiego z datą i stronicą. A jeśli mamy kogoś odszukać, co jaki nie wielki urząd w Krakowie piastował, to już na dziewięciu stronach pod miejscowością „*Cracovia*" w indexie szukać go musimy. Szkoda że p. H. nie poszedł w téj mierze za gotowemi wzorami jak n. p. kodex Rzyszczewskiego i Muczkowskiego lub t. p.

Mimo to musimy być bardzo wdzięczni wydawcom kodexu tynieckiego, że nas sumienną pracą postawili w możności rozwiązania téj zagadki, jaką dotychczas były przywileje tynieckie. *Fr. P.*

Przewodnik heraldyczny. Monografie kilkudziesięciu znakomitszych rodzin; spis rodzin senatorskich i tytuły honorowe posiadających. Kraków. 1877. str. XIV. 722. 8vo.

151] Kto się kiedykolwiek zajmował badaniami genealogicznemi i heraldycznemi, z radością zapewne powita publikacyę niniejszą, która długie u nas milczenie na tém polu przerywa, a idąc w ślad za podobnemi publikacyami zagranicznemi zamierza połączyć teraźniejszość z przeszłością i wiadomości przez Niesieckiego i jego następców podane doprowadzić do naszego czasu. Jak na teraz, na pierwszą próbę podjęcia na nowo prac heraldycznych po długiéj przerwie, treść jest obfita a więcéj może przyniesie nam jeszcze zapowiedziany tom drugi.

Jeżeli więc zasadniczo na taką publikacyę w rzeczy saméj potrzebną się zgadzamy, to jednak nie wszystko jest tu tak, jakbyśmy sobie życzyli; wyrażamy tu nasze zdanie, aby zwrócić na to uwagę wydawcy.

Najważniejszą część całego dzieła stanowią monografie, które większą połowę całéj książki (str. 235—709) zajmują. W tych monografiach spodziewaliśmy się nowych rezultatów opartych na sumiennném zbadaniu źródeł — bo i monografie heraldyczne i genealogiczne podlegają tym samym zasadom, co prace historyczne, bo i one są cząstką historyi; — lecz niestety pod tym względem doznaliśmy niemiłego rozczarowania. Monografia powinna być od początku do końca krytycznie opracowaną, powinna na podstawie dokumentów stwierdzić fakta przez heraldyków podane lub je odrzucić, powinna być tém, czém są monografie Kossakowskiego lub wyborna monografia o Bonieckich w tym roku wydana. Monografie takie, jak Kossakowskiego i Bonieckiego, spodziewaliśmy się znaleźć tutaj, lecz niestety znaleźliśmy po większéj części to samo, co w herbarzach powszechnie znanych. To powtarzanie przedawnionych i krytycznie nie stwierdzonych wiadomości Niesieckiego, Wielądka i t. p., to powtarzanie pacierza za panią matką, nie przypada nam wcale do gustu. Życzylibyśmy sobie daléj, żeby przy każdéj monografii wykazano źró-

dła główne, a mianowicie nowe, nieznane, jak np. rękopiśmienne i archiwalne.

Najsłabszą zaś stroną całego dziełka są monografie rodzin pruskich, które wydawca umieszcza. Monografie te żadną miarą nikogo zadowolić nie mogą, zwłaszcza, że nowsze prace odnoszące się do rodzin pruskich lub zawierające bogate o nich materyały wydawcy wcale nie były znane. Nie zna on ani Mülverstedta: *der abgestorbene Adel Preussens*, ani Kętrzyńskiego rozprawy: o narodowości polskiéj w Prusiech zachodnich za czasów krzyżackich; gdyby wydawca je był znał, byłoby w jego dziełku zapewne mniéj bałamutnych wiadomości. Przytaczam na dowód tego kilka przykładów. To co na str. 309—317 o Dąbrowskich herbu „*virgo violata* czyli panna z trąbami“ pisano, jest pełno błędów i bałamuctw. Zlano tu w jednę całość bezharmonijną cztery familie mające odrębne dzieje, a mianowicie Dąbrowskich herbu „*virgo violata*“, Wapczyńskich ze Smoląga, Dąbrowskich z Wojanowa czyli Wojanowskich z Dąbrowy i Hutten-Czapskich; ostatnie trzy familie są herbu Leliwa. Dąbrowscy herbu „panna z trąbami“ i Wojanowscy nigdy nie pisali się „ze Smolągu“ [1]), która to wieś leży pod Starogardem w Prusiech zachodnich a nie pod Krakowem (Smolin). Żeby Czapscy byli ze Smoląga, jest domysłem Niesieckiego niczém dotąd niestwierdzonym.

Co daléj wydawca mówi o wsiach Hutten i Dammerau, nie ma również podstawy, a co się tyczy zmiany i przemiany herbów, które przypuszcza, to jest po prostu heraldyczném absurdum. Jakie rzeczywiste były stosunki tychże familij, tutaj krótko wyłożę.

Ród Smoląskich czyli ze Smoląga występuje czynnie przy wybuchu wojny trzynastoletniéj; Gotszalk i Mikołaj zostali dnia 10go Lipca roku 1455 przez Krzyżaków zabici pod Świeciem. Roku 1470 żył Mikołaj z Smoląga; Hojko czyli Hugo był kasztelanem gdańskim (1481); syn jego Hugo podchorążym chełmińskim; lecz w r. 1518 zamienia z Janem biskupem chełmińskim dobra swoje Płowęzy na Wapcz i inne i odtąd pisze się Wapczyńskim; synami jego byli Hugo, Jan, Jakób i może Bartold Wapczyńscy, których potomstwo dokładnie znamy aż do wygaśnięcia rodu.

O początkach Czapskich nic pewnego nie wiemy; archiwa świeckie i nowskie nie znają ani wsi, ani familii Hutten; najdawniejsza w nich wzmianka opiéwa, że Marcin Czaplski był sądowym ziemskim świeckim (r. 1548).

Dąbrowscy z Wojanowa herbu Leliwa pochodzą z człuchowskiego powiatu. Jerzy był starostą osieckim i podkomorzym pomorskim (1472,

---

1) Dąbrowscy herbu virgo violata posiadali wprawdzie cząstkę Smoląga, lecz nie mieszkali tam nigdy, więc także ztamtąd pisać się nie mogli.

1479). Krzysztof sędzią ziemskim gdańskim 1468 a potém kasztelanem gdańskim. Krzysztofa synem był, zdaje się, Jerzy 1516. Leonard 1521 był sędzią ziemskim; od niego i od Krzysztofa równoczesnego Leonardowi pochodzą wszyscy Dąbrowscy z Wojanowa lub Wojanowscy z Dąbrowy, jak na przemian się piszą; stosunki ich znamy aż do połowy XVII wieku.

Dąbrowscy zaś chełmińscy pochodzący z Dąbrówki pod Radzyminem nigdy nie byli herbu Leliwa, lecz stale już w XV wieku używali własnego herbu. Z nich był 1409 Henryk Dąbrowski podchorążym chełmińskim; równocześnie z nim żyli jeszcze Mikołaj i Jan (1410). Jeden z nich był ojcem Hektora dworzanina i Mikołaja wojewody chełmińskiego († 1483). Wojewoda Mikołaj ożenił się krótko przed śmiercią r. 1482 z wdową po Ludwiku Morteskim wojewodzie chełmińskim, a dzieci nie miał żadnych. Od Hektora zaś i jego żony Plemięckiéj pochodzą: Jan Dąbrowski, kasztelan a potém wojewoda chełmiński († 1515) i Marta żona Gotarda Bystrama z Radlina. Z pierwszéj żony Elżbiety Pilawskiéj miał Jan kilka córek zamężnych i dwóch synów Bartłomieja i Mikołaja, z drugiéj zaś żony Elżbiety Luzyańskiéj dwóch synów Hugona i Jana starostów radzyńskich. Hugo nigdy nie był kasztelanem gdańskim, ani dziedzicem na Smolągu i Wojanowie, lecz był starostą radzyńskim (r. ok. 1588) i zostawił z Katarzyny Działyńskiéj pięciu synów i 4 córki; z synów Jan starosta Radzyński i Feliks mieli potomstwo.

Brat Hugona Jan Dąbrowski miał za sobą *1mo voto* Annę (czy téż Zofię) Głuchowską, a *2do voto* Elżbietą de Orchowa, która r. 1600 była wdową. Jan miał trzech synów i pięć córek a z wnukami albo linia po nim wymarła, albo przeniosła się w inne strony[1]).

Że familie Dąbrowskich wielkopolskich używających herbu „panna na niedźwiedziu“ od Dąbrowskich pruskich pochodzi, nie ulega wątpliwości, bo różnica w herbie nic nie znaczy. Ale żeby wywód „Przewodnika heraldycznego“ miał być słusznym i sprawiedliwym, na to żadną miarą przystać nie mogę. Nadmienić jeszcze muszę, że błędy takie historyczne, jakie zawiera przypisek na str. 310 o związku jaszczurczym, w poważnéj książce nie powinnyby zachodzić. Pisał o Jaszczurczykach obszernie Jan Voigt i nie jedno znajduje się także w rozprawie Kętrzyńskiego „o narodowości polskiéj“, gdzie wydawca także o znaczeniu nazwisk von Dammerau i Dąbrowski etc. poinformować się może.

[1]) Nie tu miejsce, aby każdą datę i fakt przez nas przytoczone stwierdzić cytatem: nadmieniamy tylko, że to, co podajemy, wyjęliśmy z archiwów pruskich lub z takich rękopismów, których wiarogodność naprzód sprawdziliśmy. Wydawca układając monografię Dąbrowskich korzystał z dwóch herbarzy pruskich; z tego, cośmy powiedzieli, pokazuje się, że są bardzo bałamutne; herbarze pruskie znajdujące się w Toruniu, Kórniku i Lwowie zdają się być od nich lepszymi.

To co o Dąbrowskich powiedzieliśmy, tyczy się po części także Działyńskich: posiadamy o nich, oraz o pruskich Kościeleckich niektóre nowe wiadomości drukiem ogłoszone, których wydawca nie zna. Baśń o herbie Ogończyk i innych zupełnie jest niepotrzebną; ale i tutaj znajdujemy niektóre niedokładności; nie Mikołaj Działyński wojewoda pomorski był ożeniony z Anną Sokołowską, lecz syn jego Michał. I tutaj bym mógł niejedno podać imię, którego Niesiecki i Przewodnik nie znają.

Co do Jabłonowskich, „Przewodnik heraldyczny" opiera się głównie na powadze Okolskiego i Niesieckiego a odrzuca nawet nie jedno, co *Tabulae Jablonovianae* i *Anectoda Jablonoviana* mają. Z całą zaś stanowczością odrzuca myśl, jakoby Jabłonowscy z Prus pochodzili. Kto tak stanowczo występuje, powinien znać rzecz swoją dobrze; ale cały przypisek na str. 344 o tém traktujący, poucza nas o czém inném. Jabłonowscy pruscy nie byli „herbu Wicholtz a właściwie Eycholtz", bo takiego herbu nie ma, lecz pisali się ze wsi „Wichulec po niem. Eycholz" pod Brodnicą, która była gniazdem téj familii. Mieszkali więc w Prusiech zachodnich a nie wschodnich, a Jabłonowo nazywało się po niem. *Gabelnau*, ale nigdy Eicholz. Nie była to familia niemiecka, lecz polska i używała herbu Prus III, czego pieczęci w archiwum toruńskiém dowodzą. Roku 1523go nabył Grzegorz Wichulski Jabłonowo i odtąd występują w historyi Jabłonowscy z Wichulca [2]).

Przyganić musimy także wydawcy, że koniecznie niemczy polskie familie Prus zachodnich; np. „Kos, właściwe jéj nazwisko v. d. Amsel"; śledziłem tę familię od r. 1410 do XVIIgo wieku a zawsze, nawet w dokumentach niemieckich, tylko polskie jéj nazwisko spotykałem; v. d. Amsel jest po prostu przekład wyrazu „Kos".

Mełdzyńscy pochodzą z polskiego rodu Stangonów (nie Standen) i nazywali się za krzyżackich czasów v. Alden, Malden i t. p. dla tego, że wieś Mełno tak po niemiecku się nazywała.

Pilawscy nazywali się Pfeilsdorf, a nie Pfelsdorf; Luzyańscy pochodzą z familii Merklichenrode a nie pisali się „Rösselin". Plemięckim nadaje wydawca przydomek Assalöwen; skąd to,— nie wiemy? znamy tę familię od roku 1287 a szczegółowo od końca XVgo do wygaśnięcia jéj w XVIIItym wieku (ok. 1717); nazywali się w dokumentach niemieckich v. Clement, ale nigdy v. Assalöwen.

W spisie hrabiów opuszczono Nostiz-Bąkowskich herbu Ryś i Dona-Borzestowskich. Borzestowscy to zubożała dziś rodzina kaszubska; a

---

[2]) Zob. o tém monografię o Jabłonowskich herbu Prus III w lwowskim Przewodniku nauk. i liter., Listopad r. b.

w spisie baronów opuszczono Biberstein-Orzechowskich (1665 w Orzechowie i Liśniowie).

Przytoczone przykłady, któreśmy umyślnie z rodzin pruskich wybrali, bo tylko co do nich robiliśmy specyalne studya, mogą nas pouczyć, że wielka część monografij celowi swemu nie odpowiada. Zamiast wielu tych monografij, które dużo miejsca zabierają a nic nowego nie zawierają, wystarczyłyby dopełnienia Niesieckiego, Wielądka i t. p. a jako monografie należałoby umieścić tylko prace źródłowe, które jako takie, zawsze coś nowego przynoszą. Wydawca powinien pod tym względem porozumieć się z wszystkimi, którzy na polu genealogii i heraldyki pracują, a których liczba u nas zapewne jest nie małą. Specyalne takie prace objaśniłyby nawet nie jeden fakt ciemny historyczny, a skoroby uwzględniły także pieczęci i śledziły ich przemiany w przebiegu wieków, nabralibyśmy o naszych herbach może nieco innego zdania niżeli to, które obecnie mamy. *Dr. W. K.*

Oskara Peschela Nauka o Ludach (Ethnologia) przełożona z niemieckiego i pomnożona przez Prof. Dra T. Wisłockiego. Warszawa. Nakład Spółki wydawniczéj księgarzy. 1876.

152] Głośne dzieło Peschla „*Völkerkunde*“ należy do tego rodzaju utworów głębokiéj nauki, które we właściwéj temu autorowi, bardzo poważnéj a zarazem niezmiernie powabnéj i popularnéj formie podając żywy obraz całéj nauki, wtajemniczają czytelnika w główne zadania téjże i tym sposobem jednając jéj coraz szersze koło miłośników, potężnie się przyczyniają do jéj postępu.

Z tego powodu przekład polski tak znakomitego i pożytecznego dzieła powitaliśmy z najżywszém zadowoleniem, jako niezmiernie pożądany przyczynek do naszego piśmiennictwa naukowego. Zadowolnienie to było jeszcze większém, gdyśmy się z przedmowy tłómacza dowiedzieli, że posiłkując się najznakomitszemi zbiorowemi dziełami w tym przedmiocie, oraz rozmaitemi fachowemi czasopismami, postarał się on uzupełnić 2gą t. j. opisową część dzieła, którą Peschel traktując z wysoka, przedstawił rzeczywiście za nadto pobieżnie, nierównomiernie, a niekiedy całkiem niedostatecznie.

Przytém jednakże na samym wstępie nie mało nas zadziwiło to, że tłómacz między „najznakomitszemi i w. i.“ zbiorowemi dziełami, z których w tym celu korzystał, wymienia Antropologię Mortona, któréj ten znakomity mąż wcale nie napisał, jak to nam wiadomo z jego własnych klasycznych dzieł (*Crania Americana* i *Cr. Aegyptiaca*), oraz z jego życiorysu (H. Patterson „*Memoir of Life and scientific Labors of S. G. Morton*“ w Nott. and Gliddon „*Types of Mankind*“ str. xvij —

lvij). Równie też zastanawia nas pytanie: Co dla uzupełnienia Peschla „Nauki o Ludach", tłómacz mógł znaleźć w Antropologii M. Perty, a jeszcze bardziéj w dziele Frédault, które pod niewłaściwie przybranym tytułem *„Traité d'Antropologie physiologique et philosophique. Paris.* 1863" ma się wyłącznie zajmować ogólną fizyologią człowieka jako osobnika, i z téj przyczyny ani sam autor do antropologów, ani jego dzieło do literatury antropologicznéj wcale nie należą *(Quatrefages: Rapport sur les progrés de l'Anthropologie en France. Paris.* 1867. *chap.* II. § I. oraz str. 530—564).

Co się tyczy czasopism, to żałować musimy, że tłómacz nie uznał za lepsze korzystania z prawdziwie fachowych, znanych publikacyj Towarzystw antropologicznych: paryzkiego, londyńskiego, berlińskiego i innych, z których mógłby bez wątpienia czerpać daleko obfitsze i poważniejsze wiadomości, niż z takich mięszanych i popularnych czasopism, jak *Globus* i *Ausland.* Zresztą przystając i na te źródła, które tłómacz sam sobie wybrał do użytku, pilno nam jest dowiedzieć się: co mianowicie i w jaki sposób zostało z nich wyzyskane do uzupełnienia oryginału w dokonanym przekładzie?

Owoż, po najpilniejszém rozpatrzeniu się w całéj drugiéj części tego przekładu. traktującéj o plemionach ludzkich, przekonaliśmy się: *że wszystkie dodatki*—z wyjątkiem ustępu (str. 545—548) wyjętego prawdopodobnie z dzieła Fritscha, — *zamiast zapowiedzianych i wyliczonych w przedmowie „najznakomitszych dzieł zbiorowych i rozmaitych czasopism" pochodzą najniewątpliwiéj z jednego i jedynego źródła, a mianowicie są to dosłownie przełożone wypisy*[1]) *z bardzo znakomitego dzieła* Fr. Müllera *„Allgemeine Ethnographie". Wien.* 1873.

Wybór tego dzieła do uzupełnienia zbyt pobieżnie wyłożonéj części opisowo-etnologicznéj w dziele Peschla był bardzo trafny; albowiem oba te dzieła są rzeczywiście, jak gdyby za wspólną umową swoich autorów napisane tak, że się dopełniają nawzajem. Pod tym względem przyznając zupełną słuszność Prof. Wisłockiemu, musimy mu jednak uczynić dość ważne zarzuty co do sposobu, w jaki zużytkował dzieło Fr. Müllera. Pierwszym jest ten, że dodatki do oryginału zostały dokonane bez umiejętnie naprzód rozważonego i ułożonego planu; skutkiem czego tłómacz zbyt hojnie poczynił dodatki tam, gdzie się bez nich przynajmniéj w połowie obejść mogło, a przeciwnie brak ich znajdujemy właśnie w tych

---

[1]) Wypisy te zajmują około 90 całych stronnic: 316—320; 338—343; 355; 359; 363—365; 373—379; 381—387; 392—408; 427—433; 435—440; 451—464; 475—479; 537—541; 572—588. Oprócz tego w większych lub mniejszych ustępach, wypisy te znajdują się na str.: 321—326; 331—337; 348, 350, 354, 356—3 8; 362, 367, 368, 380, 410, 411 i 434.

miejscach, gdzie były najbardziéj potrzebne. A mianowicie: rozdziały Peschla o Australczykach, Papuanach, a po części o ludach szczepu malajskiego, dają same przez się obraz chociaż nie całkiem wykończony, lecz dość wyraziście malujący te ludy. W tych tedy rozdziałach, zamiast mnóstwa drobiazgowych szczegółów etnograficznych podanych z Müllera, śmiało można było poprzestać na treściwém dorzuceniu kilku żywszych cechujących rysów. Ta uwaga odnosi się szczególniéj do zbyt obszernych rozdziałów o Dayakach, Battakach, Tagalach, Malajach i Jawanach (str. 396 — 411), które *in extenso* żywcem przylepiono do Peschla.—Według naszego przekonania, należało, przetrawiwszy wprzód owe rozdziały we własnéj myśli, streścić je i o ile możności wyłożyć w téj formie żywéj i, że tak rzekę, soczystéj, jaka cechuje znane pod tym względem pióro Peschla. Podobnież można było oszczędzić przynajmniéj $^2/_3$ wypisów z Müllera o Chińczykach (str. 427—433), Japończykach (str. 434—441) i Mongołach (str. 454—464), oraz całkiem zaniechać ustęp z tegoż autora o starożytnych Scytach, Hunnach, Chazarach i t. p. (str. 451—453).

W miejscu zaś tych, zanadto obszernych a wcale niekoniecznych dodatków, wolelibyśmy coś więcéj się dowiedzieć o całkiem przemilczanych Tunguzach i Buriatach, o których bardzo dobre opisy przez Albina Kohna były podane w przeszłorocznym Globusie, głównie zaś o Lapończykach i ludach ugro-fińskich, których znajomość największą ma wagę w dziejach przeobrażeń etnologicznych Europy. Nakoniec godziło się dać nam poznać choć w streszczeniu niedawno zdobyte wiadomości etnologiczne o ludach środkowéj Azyi i Indochinach. Co do plemion fińskich i mongolskich, tłómacz niesłusznie się żali (str. 453) na niedostateczność wiadomości o nich; albowiem gdyby ich chciał poszukać po za obrębem książki Müllera, znalazłby je łatwo np. w pomnikowém dziele Paulego „*Les peuples de la Russie*". O ludach Turkiestanu mógłby też wiele zaczerpnąć z publikacyj rossyjskiego Tow. jeograficznego, które mu są daleko dostępniejsze niż komu innemu. Co do ludów indo-chińskich, oprócz znanych pism Bastiana, pełno jest o nich bardzo poważnych wiadomości po pismach Towarzystw antropologicznych, a nawet we wspomnianym przez tłómacza *Globusie*.

Przechodząc de etnoglogii Afryki, znajdujemy tę samą nietrafność i niestosowność w poczynionych tam dodatkach. A mianowicie: obok doskonałego obrazu murzynów, jakie już podał sam Peschel całkiem zbyteczny i dwa razy tyle miejsca zajmujący (str. 572—588) wypis z Müllera jest istnym balastem, wprawdzie nader zajmującym. Gdyby zamiast prostego w y p i s u poprzestano na opracowanym w y c i ą g u, o jakim była mowa wyżéj, toby się oszczędziło materyału i miejsca na dopełnienie zbyt skąpego obrazu tegoczesnych Semitów; możnaby się też było

zdobyć na rzucenie większego światła na zbyt mglistą w tém dziele etnologię Ameryki i Indyj. Co do tych ostatnich bardzo pożądany przyczynek znalazłby się w pracy kapit. Campbella (*„Ethnology of India“ Journal of the Asiatic Soc. 1866 Vol. XXXV)* oraz najnowszéj, Rousseleta (*„Tableau des races de l'Inde“. Revue d'Anthropologie.* T. II i IVty. 1873 i 75); podczas, gdy dolepiony z Müllera ustęp o Khondach i Tudach (str. 537 — 540) nie tylko, że tęmu brakowi nie zaradził, lecz na zbyt lekkim gruncie całego rozdziału o Drawidach, razi niewłaściwą drobiazgowością.

Najdotkliwszym zaś niedostatkiem w dziele Peschla, szczególnie dla naszéj publiczności, odznaczają się ostatnie rozdziały, w których zaledwo wzmiankowano o owéj *„officina gentium“*, o Kaukazie; wiadomości zaś podane tamże o szczepie indo-europejskim, najbliżéj nas obchodzącym, są zanadto pobieżne. Niedostatku tego nie przeoczył wprawdzie i Prof. Wisłocki; lecz nieoględnie wyczerpawszy się na przypiskach do Australczyków, Mongołów i Murzynów, widocznie już nie mógł temu zaradzić inaczéj, jak wstawiając opracowany przez p. Kirkora rys przedhistorycznéj Słowiańszczyzny (str. 613—630). Naszém zdaniem był to pomysł wcale niefortunny; albowiem, nie wdając się w ocenienie wewnętrznéj wartości rzeczonego przyczynku p. Kirkora, sądzimy, że przyczynek ten, ani ze swójéj treści wyraźnie archeo-etnologicznéj, ani z ducha, w jakim jest opracowany, nie przystaje zgoła do dzieła Peschla. Gdybyż mu przynajmniéj dano jaką podstawę, t. j. gdyby był rzeczywiście przyczynkiem do jakiego takiego obrazu etnologicznego dzisiejszéj Słowiańszczyzny, natenczas nabyłby on zapewne jakiegoś znaczenia; lecz niestety sam tłómacz pozbawił go nawet tego drobnego punktu oparcia, jaki się znajduje w oryginalném dziele Peschla (wyd. 2gie str. 542); a to mianowicie, samowolnie zmieniwszy i zagmatwawszy do niepoznania podaną tam wzmiankę o pojedyńczych narodach słowiańskiéj rodziny. Pozostawienia całéj téj rażącéj luki, — którą Prof. Wisłocki powinien był i mógłby łatwo zapełnić, gdyby się był udał do bardzo obfitych w tym przedmiocie źródeł naukowych, — nie umiemy sobie inaczéj wytłómaczyć tylko tak, że prof. Wisłocki uzupełniając dzieło Peschla postanowił sobie, wbrew uczynionemu w przedmowie oświadczeniu, trzymać się wyłącznie i nieodstępnie raz obranego Müllera, z którego obszerniejsze lub krótsze wyjątki żywcem wcielał do przeznaczonych miejsc w tekście Peschla. Domyślamy się, że musiała to być robota wcale nie zawiła; bylibyśmy wszakże gotowi i ją poczytać za zasługę tłómaczowi, gdyby się nam nie nastręczał następujący nowy zarzut co do samego sposobu w jaki téj roboty dokonano.

Jest to zwyczajem powszechnie przyjętym w zawodzie piśmienniczym, zwyczajem którego przestrzegają nawet redakcye dzienników przyzwoitego tonu, że przedrukowywając cokolwiek z innego autora, każdy pożyczony ustęp zaznacza się w sposób właściwy i wymienia się stronnicę cytowanego dzieła. Zachowanie tego prawidła było tém bardziéj nakazaném w przekładzie dzieła Peschla, że ze względu na jego naukową powagę czytelnik może mieć nie raz potrzebę zacytowania onego przy jakiéjbądź własnéj pracy; a w takim razie powinienby wiedziéć dokładnie, co w podanym pomnożonym przekładzie tego dzieła należy właściwie do Peschla, co do Müllera, a co znowu do tłómacza? Mając to na względzie, byłoby zdaje się najwłaściwiéj, iżby Prof. Wisłocki w swoim przekładzie ustępy wzięte z Müllera odznaczył między tekstem, jak się to często używa w dziełach naukowych, za pomocą odmiennego, drobniejszego druku. Tymczasem rzeczone prawidło bardzo niesłusznie zostało zaniedbaném i przeciwnie, wcieliwszy bez śladu wyjątki z Müllera do tekstu Peschla, Prof. Wisłocki stworzył z tego amalgamat, dokonany wprawdzie bardzo zręcznie, lecz z krzywdą oczywistą dla obu autorów; gdyż tym sposobem spaczył on tekst Peschla kosztem Müllera. A mianowicie: gwoli rzeczonego amalgamatu tłómacz pozwolił sobie opuścić niektóre ustępy z oryginału[1]), inne przestawić[2]), inne nakoniec poprzerabiać, jak np. wyżéj wspomniany cały ustęp o Słowianach. Lecz jeszcze bardziéj pokrzywdzonym został Müller; albowiem drobniejsze ustępy z niego wypisane, zostały bez najmniejszéj wzmianki o właścicielu tak zręcznie i gładko spojone z tekstem Peschla[3]), że nawet czytelnikowi znającemu Müllera na pamięć niepodobna byłoby wyśledzić rzeczone ustępy, gdyby nie miał samego dzieła pod ręką. Co gorsza wszakże dla Müllera, to, że wcielając jego wyjątki, i to szczególnie obszerniejsze, Prof. Wisłocki postępuje sobie z niemi tak, iż czytelnik musi wierzyć, że to są dodatki samodzielnie opracowane przez samego tłómacza, według owych „rozmaitych i w. i. fachowych“ źródeł, ogłoszonych w jego przedmowie.

Tymczasem tak się rzecz ma: ogromny ustęp (poczynający się od 12 wiersza str. 373, a kończący się na str. 388), zlepiony jest z samych tylko dosłownych wypisów z Müllera, o którym p. Wisłocki czasem tylko wspomina, że się to lub owo mówi według Müllera; a jeśli go niekiedy raczy zacytować, to tylko przy swoich (?) przypiskach w odsyłaczu. — Daléj:

---

[1]) „*Völkerkunde*“ 2gie wyd. str. 360 wiersz 2 — 5 z dołu; str. 361 w. 1 — 3 z góry; str. 364 w. 1—6 z dołu; str. 365 w. 1—2 z góry; str. 367 w. 3—8 z dołu.

[2]) Tamże: str. 368, w. 3—10 z góry; str. 365 w. 1—4 z dołu.

[3]) Także ustępy są np.: na str. 321 w. 3—5, 9—10, 14—15, 17—18; str. 362 ustęp 2gi; str. 350 w. 4—17 itp., itp.

cały szereg rozdziałów o Dayakach, Battakach, Tagalach, Malajczykach i Jawańczykach (str. 392—411), wypisany jest całkowicie z Müllera wraz z jego cytatami (Müll. str. 313—333); o Müllerze jednak prof. Wisłocki zamilcza, lecz przy zagłówkach w odsyłaczu korzysta z jego erudycyi i niby od siebie, skrupulatnie wylicza wszystkie inne dzieła!! To samo powtarza się na str. 434, gdzie rzeczą o odzieży Japończyków rozpoczyna się długi wypis z Müllera i ciągnie się do str. 441. Jeszcze jawniejszy pozór przywłaszczenia ma ustęp, str. (451 — 453) wypisany z Müllera o starożytnych Scytach, Hunnach i t. d. a poprzedzony następującém wyrażeniem tłómacza: „Nasz obraz tych ludów nie byłby zupełny, gdybyśmy chociaż kilku słowy nie wspomnieli o tych“... itd.. gdzie już nawet w odsyłaczu nie masz wzmianki o Müllerze. Najarbitralniéj zaś postąpił sobie z tym autorem Prof. Wisłocki w niektórych uwagach zamieszczonych w odsyłaczu pod własnym znakiem: (P. T.)— A mianowicie: Uwaga o *tabu* na str. 388 jest co do słowa przetłómaczona z Müllera (M. str. 306); przypisek zaś „uwagi godny“ na str. 378 zlepiony jest z uwag tegoż autora (M. str. 42 i 243), o którym wszakże się milczy, a z jego łaski natomiast zacytowany jest Darwin!!... Najciekawszą zaś pod tym względem jest uwaga na str. 35. Jest to prawie co do słowa przetłómaczony przypisek, znajdujący się w dziele Müllera str. 37, który tłómacz skróciwszy cokolwiek, zakończył temi słowy: „Takie same zdanie podziela i Fr. Müller (*Etnographie*. 1873. str. 36). P. T.“

Z tego wszystkiego, ku przykremu dla nas rozczarowaniu, okazuje się: że cała praca Prof. Wisłockiego, nosząca tytuł pomnożenia i uzupełnienia dzieła Peschla na podstawie tylu znakomitych dzieł fachowych czasopism, polegała jedynie na tak zwanéj operacyi nożycowéj pod sekretem dokonanéj nad dziełem Fr. Müllera.

Sposób ten praktykuje się wprawdzie przy fabrykowaniu dzienników pośledniejszego gatunku; lecz w poważnéj naukowéj pracy, jaką powinno było być tłómaczenie Peschla, jest on bezwarunkowo rzeczą nieprzystojną i wielce naganną. Wydawanie zaś podobnéj roboty za samodzielne naukowe opracowanie, jak to Prof. Wisłocki w swojéj przedmowie uczynił, jest z jego strony mistyfikacyą, dowodzącą zbyt małego poszanowania przyzwoitości literackiéj, a wielkiego lekceważenia naukowéj publiczności.

Pod względem języka, przekład nie jest również wolny od zarzutów. Styl tłómacza odznacza się szczególną, nie polską budową. Jako próbkę najpoprawniejszą tego stylu podajemy następujące wyjątki: „Jeśli ród ludzki z jednego ogniska całą powierzchnię ziemi zapełnił, a „tego ogniska w Ameryce szukać nie możemy, to świat nowy musiał ze

„starego swoich mieszkańców otrzymać“. (str. 483) — „Według Teofila „Hahn mają zaś ci ostatni (Buszmani) jad do zatrucia strzał z cebulek „rośliny *haemanthus toxicarius*, a do grotów i innéj broni z gruczołów „jadowitych węży i soku pewnego gatunku mlecza przysposabiać“. (st. 185).

Ślepe trzymanie się wyrażeń niemieckich oryginału bardzo często prowadzi tłómacza do najdziwaczniejszego szykowania wyrazów w jego okresach, np.: „Tym mniéj jeszcze sprawdziły się poglądy z końca prze„szłego stulecia osób, które, jak np. Georg Forster, przepełnione „mrzonkami Russa, ludy na wyspach południowego oceanu uważały za „ród szczęśliwy, do stanu pierwotnego zbliżony, przez mamidła kulturo„we z szaty ideału ludzkości jeszcze nie obdarty i jemu zazdrościły“ (str. 131). „Nie mniéj i na baśniach starego świata nie zbywa w nowym. Po„między innemi jawi się powiastka o awanturniku, który po wysokim „drzewie do nieba się wspiął i ztamtąd to na rzemieniu, to na powróśle „ze słomy, to na splotach z włosów, a nakoniec po słupie z dymu z pe„wnéj chaty na ziemię się napowrót spuścił, u ludów ugrskich i równo„cześnie u athabaskijskich Indyan psich żeber na północnym krańcu no„wego świata“ (str. 489—490). Czyż podobna zrozumiéć taki okres, nie przetłómaczywszy go wprzód na niemieckie i nie uszykowawszy na nowo po polsku?

Obok tego pod wpływem niemczyzny potworzyły się w tłómaczeniu wyrażenia podobne do następujących: „Ponieważ jednak każde „postępowanie przy mierzeniu (t. j. każda metoda mierzenia) „da się usprawiedliwić, i żadne dotąd powszechnego przyjęcia nie uzyskało, „to musimy za temi znawcami czaszek iść, którzy najwię„kszą ilość wymiarów czaszek, dopuszczających poró„wnanie, dostarczyli“ (str. 53); „w takim razie „nie ma więcéj „najmniejszéj przeszkody do przyjęcia kilku plemion ludzkiego „rodu za odrębne gatunki“ (str. 12); „te przykłady nie zdołają zbić po„ważnych wątpliwości“ (*ernste Zweifler zu bekehren* str. 13); „gdzie „się najdawniejsze ślady naszego rodu odszukać spodziewać może„my“ (st. 33). „Miednica należy przeto do znamion płci drugiego rzędu, „u Buszmanów zaś, Hottentotów i Kaffirów można łatwo miednicę „męzką z kobiécą pomieniać“ (*!! verwechseln* str. 76).

Tym sposobem na każdym kroku spotykamy wyrażenia niezrozumiałe, jak: „rozwinięcie pierwotnéj istności, pogłębienie ducha (str. 426), lud budowniczych pagórków (*moundbuilders* str. 508), lub wyrazy takie jak turnowanie (*Turnen)*; herbata paragwayawa (str. 498 a więc i chinowa?); rośliny kulturowe; ludy kulturowe i ich rodacy (sic! str. 517); Afryka uchodzi za pasierba dziejów kulturowych (str. 210); zęby Haja (tj. rekina v.

Żarłacza; wętki (sic) z pazurów (szpon) ptasich (str. 334). „Obejrzawszy się w naszych owocowych dziedzinach *(Obstreviere)*" (495). „Opieranie się jednak na geologicznych objawach, nie będących jeszcze same ściśle uzasadnionemi, nie okazuje się wielce korzystném" (str. 483). „Czasami nazywają zachodnich (Hazarów) *Ajmak*, co tyle znaczy jak horda" (str. 444) itd. itd. bez liku.

Dalćj spotykamy tam często: wielką samowolność w pisowni, np. Egypt, Brazilii, polygamia, „troskliwém wyborem rozpłodowym i sztucznem krzyżowaniem" (str. 495); niezręczność w tworzeniu wyrazów kraniologicznych n. p. „Indowie należą do wązko i średniowysokogłowych" (str. 534). Któżby tu się domyślał, że to ma znaczyć po prostu: iż Indyanie mają wązkie głowy miernéj wysokości; nakoniec pochodzące z niewiadomości czy nieuwagi przekręcanie nazw jeograficznych i innych: np. *Tristan d'Acuanha* (Tristan da Cunha), wyspa Oster (W. Wielkanocna czyli Vaj-hu), kraina ogników (Ziemia ognista—*Fireland*); Lefuka (Levuka); Fokie (Fo-kien); Kaffiry (Kafry); Orodszony (Oroczony), Burjety, Korjeki (Buräten, Koriäken) i t. d. — Pisać: „Fellahinami" (zam. Fellahami) (str. 591), znaczy zupełnie to samo gdyby napisać Hellenojami zamiast Hellenami. To, że wódz Bassutów Moszesz (Moschesch) został przezwany Mojżeszem (str. 158), chcemy uważać za jeden z bardzo wielu błędów drukarskich, znajdujących się w téj książce; — lecz musimy oświadczyć się wyraźnie przeciw rozmyślnemu polszczeniu nazw jeograficznych i innych, jakie tam spotkaliśmy, np.: *Neanderthal* została zmienioną w dolinę Neandra, a jeszcze niefortunniéj, typ *Hochberg*, oznaczający pewny kształt czaszek starożytnych w Szwajcaryi nazwano typem wysokogórskim! Gdybyśmy równém prawem polszcząc inne nazwy, przezwali; *Düsseldorf* wsią Dysslową, *Oranienburg* górą pomarańczową, *Holywood* Świętolasem, *Yellow Stone* Żółtym kamieniem i t. p., to ciekawa rzecz, w coby się obróciła nasza jeografia?

Na zakończenie musimy jeszcze zapytać tłómacza, dla czego nie uznał za potrzebne naśladować w tém Peschla i Müllera, i do swojéj książki nie dodał indeksu nazw, który przy takiém dziele jest rzeczą niezbędną? *Dixi!* *I. K.*

Nauki społeczne.

Walter Bagehot: Lombard Street. Charakterystyka rynku pieniężnego. Według 48go wydania angielskiego, przełożył Szymanowski Michał. Nakładem redakcyi Gazety handlowéj. Warszawa. 1876. str. 288. 16ka.

153] Dzieło Bagehota wchodzi w skład międzynarodowéj biblioteki naukowéj, wydawanéj równocześnie w językach angielskim, francuzkim i nie-

mieckim. Mimo tego pisane przez Anglika widocznie tylko dla publiczności angielskiéj, dzieło, o którém mowa, schlebia próżności narodowéj, nie tyle wysławianiem ekonomicznego rozwoju Anglii, co raczéj lekceważeniem rozwoju tego w krajach kontynentu europejskiego. Mianowicie razi zupełne zapoznanie znaczenia banku francuzkiego dla kontynentu, lubo zresztą jego organizacyi autor nie szczędzi pochwał. Widocznie autor piszący świéżo po wypadkach wojny francuzko - pruskiéj i komuny, ani przypuszczał, jaką niepożytą siłę, jaką zadziwiającą elastyczność posiadał organizm ekonomiczny Francyi. Niepohamowaną dumą wyspiarza tchnie całe dzieło — zresztą w szczegółach bardzo znakomite.—Inna rzecz, czy w zakresie literatury ekonomicznéj zagranicy nie znalazłoby się dzieło większego praktycznego dla nas znaczenia, aniżeli dzieło Bagehota. Organizacya kredytu w Anglii oparta na banku angielskim, jest tak jedyną w swoim rodzaju, tak odrębną, że nawet kraje z wysoko rozwiniętą organizacyą kredytu, jak np. Stany Zjednoczone lub Niemcy, nie wiele nastręczają punktów do porównania. Dla ogółu publiczności naszéj zapoznanie się z istniejącą w Anglii organizacyą kredytu może tylko zaspokajać ciekawość — praktycznego znaczenia, w téj chwili przynajmniéj, nie ma innego, jak np. zapoznanie się z interesującym opisem jakiéj ponętnéj wyspy na Oceanie Spokojnym. Dla naszéj publiczności byłoby, jak mniemamy, pożądańszém zapoznanie się z organizacyą kredytu w warunkach do naszych więcéj zbliżonych, np. we Francyi lub w Niemczech, tém więcéj, gdy wydane przed czternastu laty za staraniem b. Towarzystwa rolniczego w polskim przekładzie dzieło Courcelle Seneuilla p. t. „Wykład czynności bankowych“, dzisiaj już jest z wielu względów przestarzałém, a z powodu języka sadzącego się na piastowską szorstkość popularném nigdy stać się nie mogło. Przekład np. dzieła Coquelin'a o kredycie i bankach w ostatniém wydaniu, lub (w skróceniu) dzieła Wirtha w téjże materyi, byłby jak mniemamy, bardzo dla nas na czasie.

Przekład jest wierny i jasny, gładki a przytém dosadny. Tém więcéj rażą rozrzucone tu i owdzie wyrażenia z duchem języka naszego niezgodne. Pomijamy „przykłady życiowe“ i „przegródki wekslowe“, — ale uderza niemile ucho ciągła mowa o „rynku pieniężnym“, podczas gdy wyrażenie „targ pieniężny“ rzecz oddaje daleko lepiéj, a do tego już się utarło w naszém piśmiennictwie ekonomiczném. Nie zdaje nam się również, aby przyjęte w Warszawie wyrażenie „skup weksli“ wiernie oddawało istotę eskonty. Wytkniemy w końcu, iż skoro się mówi o walucie, to epitet „prawna“, lubo dosłownie tłómaczący angielskie *legal tender,* w przekładzie polskim staje się zupełnie zbytecznym, bo takowy jest już objęty pojęciem waluty. *B—k.*

Nauki lekarskie.

Sprawozdania lekarskie z pory zdrojowéj z r. 1875 (z Buska, Ciechocinka, Iwonicza, Rabki, Solca, Szczawnicy, Truskawca i Żegiestowa).

Jest to wynikiem naszych stosunków społecznych, że rzadko który z lekarzy oddawać się może wyłącznie uprawie téj gałęzi nauki lekarskiéj, któréj się przeważnie poświęcił lub do któréj wiódł go przypadek lub widoki osobiste. Zapewne te same stosunki społeczne są przyczyną, że większa część naszych lekarzy zdrojowych nie zajmuje się balneologią tak szczerze, jakby zasługiwał znaczny postęp, jaki w ostatnich czasach uczyniła ta gałęź wiedzy lekarskiéj. Ztąd pochodzi, że wielu lekarzy zdrojowych nie umié dotąd wyzyskać i zastósować w sposób racyonalny czynników leczniczych, znajdujących się w zdrojowiskach, w których corocznie spędzają kilka miesięcy; a tém mniéj zdoła przyczynić się do bliższego poznania własności i właściwości zdrojowisk, powierzonych ich opiece. Pociąga to za sobą niepomierną szkodę tak dla nauki, jakotéż dla dobra zdrojów i chorych, szukających tamże pomocy. Zabiegom nowszych lekarzy zdrojowych przeważnie niemieckich zawdzięczamy znajomość faktów, odnoszących się do przemiany pierwiastków ustroju przy użyciu rozmaitych kąpiel i wód lekarskich, do wpływu tychże czynników na sprawy żywotne ustroju, a stwierdzonych w sposób naukowy przez badanie krwi, wydzielin i wydalin; podczas gdy nasi lekarze zdrojowi z małymi wyjątkami stoją jeszcze zdala od tego prądu naukowego. Bardzo wielu lekarzy praktykujących u wód zagranicznych, spędzają corocznie przynajmniéj kilka miesięcy w zakładach fizyologicznych lub klinikach, pracując tamże w kierunku swéj specyalności, u nas postępowanie takie jest co najmniéj wyjątkowém. Prawda, że zdrojowiska zagraniczne dostarczają zazwyczaj lekarzowi zdrojowemu tyle dochodu, że resztę roku poświęcić może nauce i wypoczynkowi; prawdą jest także, że ponajwiększéj części znajdują się u wód zagranicznych szpitale, gdzie lekarz zdrojowy może mieć sposobność dokładnego dostrzegania skutków i wpływów czynników leczniczych: jednakowoż i u nas są lekarze zdrojowi, których trudy poniesione w porze zdrojowéj się opłacają, z drugiéj zaś strony do badania naukowego szpital nie jest niezbędnym warunkiem. Jak dalece zyskują zdrojowiska przez ruchliwość naukową lekarza zdrojowego, dowodzić nie potrzeba; i na naszych zdrojowiskach mamy dobitne przykłady, że lekarz zdrojowy starający się o zaznajomienie kolegów ze zdrojem i jego skutkami, wpływać może znakomicie na podniesienie zdrojowiska.

Jedynemi prawie objawami życia na polu balneologii są u nas sprawozdania roczne lekarzy zdrojowych, a właściwie mówiąc, lekarzy zakładowych, gdyż inni lekarze zdrojowi, chociaż rozporządzają nie raz

znacznym materyałem chorobowym, nie uważają po największéj części za rzecz stósowną podzielić się z szérszą publicznością lekarską swemi spostrzeżeniami i uwagami. Sprawozdania te ponajwiększéj części ograniczają się do szczegółów administracyjnych i statystycznych, jak do podania liczby gości kąpielowych, ich miejsca pochodzenia, wyznania, liczby użytych kąpiel, sprzedanych flaszek wody, do wymienienia lekarzy, posyłających chorych do zdrojowiska lub odwiedzających takowe, ulepszeń w zdrojowisku dokonanych i t. p. rzeczy, które nie wymagają wcale znajomości nauk lekarskich, lecz snadnie mogłyby być ogłaszane przez zarządy zdrojowisk. W wielu sprawozdaniach część ściśle lekarska traktowaną jest po macoszemu, i ogranicza się tylko do przytoczenia wykazu chorób leczonych w porze zdrojowéj, wyniku leczenia i do pobieżnego opisu tego lub owego przypadku, który ma udowodnić świetne skutki leczenia zdrojowego w téj lub owéj chorobie. Wymienianie szczegółów administracyjno-statystycznych jest istotnie pożądaném, ażeby dać pogląd na stan zdrojowiska, a wprowadzoném zostało przez b. komisyę balneologiczną, która istniała przy b. Towarzystwie naukowém krak. i położyła znakomite dla zdrojowisk i kraju zasługi; jednakowoż już w regulaminie dla sprawozdań zdrojowych, wydanym przez kom. baln. w roku 1857, znajduje się wymienionych wiele szczegółów ściśle lekarskich, topograficzno- lub fizyograficzno-lekarskich, które po największéj części pomijają lekarze zdrojowi w swych sprawozdaniach. Pomijanie to wytknąć należy tém bardziéj, jeżeli się uwzględni, że sprawozdanie lekarza zdrojowego jest zazwyczaj jego jedyną pracą literacką.

W obec tego jest rzeczą pocieszającą, że przynajmniéj kilku lekarzy zdrojowych pojmuje należycie swe zadanie względem zdrojowiska i nauki i przedarłszy się przez szeregi martwych cyfer i napuszystych a mało znaczących frazesów balneologicznych ogłasza sprawozdania, które zaliczyć trzeba do rzędu celniejszych utworów literackich. Głównie mamy tu na myśli sprawozdania roczne Dra Dymnickiego z Buska, który od lat 18 ogłasza corocznie sprawozdania godne uwagi i bliższego ocenienia; jedno ze sprawozdań Dra Kopernickiego z Rabki, które zjednało sobie powszechne uznanie; jak niemniéj pierwsze sprawozdanie Dra Lutostańskiego z Iwonicza, nad którém nam się bliżéj zastanowić wypadnie.

Po tych uwagach wstępnych przejdźmy pojedyńcze sprawozdania, pozostawiając sobie na sam koniec takie, które mają istotną wartość naukową.

I. Ważniejsze wypadki z praktyki lekarskiéj u wód mineralnych Ciechocińskich z r. 1875, przez Dra Mieczkowskiego, lekarza zdrojowego. Gazeta lekarska XX. Nr. 19, 23, 24, 25, 26. 1876.

154] Treścią rozprawy jest opis leczonych ze skutkiem pomyślnym dwóch przypadków trudnych ozdrowin, czterech przyp. niby gośćca i jednego

przyp. choroby Bazedowa, obok ogólnych uwag odnoszących się do leczenia gośćca. Nie chcemy bynajmniéj zarzucać autorowi, że za przedmiot swéj pracy obrał kazuistykę balneologiczną, gdyż i takowa bezsprzecznie ma wartość, jeżeli jest opracowana starannie i jeżeli opisanie przypadków dostrzeganych odpowiada obecnemu stanowisku nauki lekarskiéj i ogólnym wymogom piśmienniczym. Jednakowoż rozprawka Dra M. może służyć jako wzór pracy pobieżnéj, niedokładnéj, zaniedbanéj co do formy i języka. Możnaby istotnie na tych kilku słowach zakończyć całą krytykę, gdyby nie wzgląd na konieczność usprawiedliwienia uwag ogólnych, umieszczonych na wstępie do niniejszéj oceny sprawozdań zdrojowych. Wytkniemy więc tylko najważniejsze usterki, wychodząc z zapatrywania, że tylko ostra krytyka jest jedynym środkiem oczyszczenia naszéj literatury lekarskiéj od podobnych płodów literackich.

I tak: widocznie nie odróżnia autor właściwych ozdrowin od następowych zmian w odżywieniu, które przedstawiają się jako choroby następowe z wyraźną lokalizacyą w pojedyńczych narządach; ba nawet zalicza do ozdrowin te przypadki, gdzie utrzymuje się jeszcze w całéj pełni choroba właściwa, podkopująca odżywienie. W obec takich pojęć nie można się dziwić, że autor nazywa rekonwalescentką chorą okazującą jeszcze liczne przetoki skutkiem pruchnienia szczęki, u któréj trzy przetoki w podbrzuszu wydzielają jeszcze ropę i która nadto okazuje dreszcze, gorączkę i nocne poty! Przypadek wybitnéj blednicy, która rozwinęła się po porodzie, nazwał autor także ogólném mianem zdrowienia, któráto nazwa mogła wprawdzie wpłynąć korzystnie na uspokojenie „wrażliwéj, bojaźliwéj i w wysokim stopniu nerwowéj“ pacyentki, jednakowoż nie zaspakaja wcale lekarza. Jeszcze mniéj szczęśliwym był autor w trafności rozpoznania i szczególniejszym sposobem jako przykłady gośćca uleczonego w Ciechocinku przytacza 4 przyp., o których wnosić można z opisu, że wcale nie były gośćcem. I tak pierwszy przyp. da się pojąć tylko jako przewlekłe zapalenie osłon rdzeniowych, w drugim przyp. sam autor nie jest ze sobą w zgodzie co do przyrody bolu w kończynach dolnych, przypadek trzeci był nerwobolem międzyżebrowym, zaś przypadek czwarty, dotyczący rwy kulszowéj zalicza autor dla tego do gośćca, że przyczyną miało być przemoczenie nóg! — Przykładów braku ścisłości moglibyśmy wymienić bez liku, poprzestaniemy na kilku: Wyraz *paraplegia* uważa autor jako równoznaczący z „materyalném cierpieniem rdzenia pacierzowego“; wydzielanie się ropy w okolicy podbrzusznéj wystarcza do orzeczenia, że ropa wydzielała się z „jajnika“; wydzielinę ropnia miednicowego nazywa „wodnisto-śluzową“!; pochyłe trzymanie się choréj wystarcza do rozpoznania „osłabienia rdzenia pacierzowego“ i t. p. Zapatrywanie autora na gościec jest zbiorem najwsteczniejszych pojęć: dosyć

przytoczyć definicyę gośćca, „że jest to choroba, która powstaje skutkiem przeziębienia i leczy się przez obudzenie czynności skóry“. Najlepszy dowód swéj wiedzy balneologicznéj dał autor, zaliczając Nauheim i Rheme do cieplic gazowych, podczas, gdy takowe powszechnie zaliczane bywają do cieplic solankowych zamożnych w kwas węglowy, zaś Wiessbaden do „bardzo gorących cieplic obojętnych“, podczas gdy Wiessbaden należy do cieplic słonych.

II. Truskawiec w r. 1875. Obraz ruchu i Zarządu wraz ze spostrzeżeniami lekarskiemi. Lwów. Nakładem Zarządu. 1876. str. 15.

155] Lekarz zdrojowy Truskawiecki Dr. Z. Rieger, ogłasza corocznie broszurki podobne treścią i rozmiarami do obecnéj. Czy przez to wyświadcza jakąkolwiek przysługę zdrojowi, balneologii krajowéj lub lekarzom, na to odpowiedzieć nie trudno, przypatrzywszy się treści pisemka. Przeczytawszy całą broszurkę mimowoli zapytać się trzeba, w jakim celu jest pisaną i dla kogo przeznaczoną; dla publiczności nie lekarskiéj jest zanadto suchą, dla lekarzy zanadto popularną, w ogóle napisaną niedbale. Już na pierwszéj stronnicy rażą dwa olbrzymie okresy, niezrozumiałe z powodu niejasnego stylu; na następnych kartkach spotykamy się z dokładnymi szczegółami statystycznymi, które obejmują nawet nazwiska restauratorów, pomijają jednak zupełném milczeniem rodzaje chorób w zdrojowisku leczone, — miejsce ich zajmuje tylko pobieżny opis 4ch przyp. chorobowych, który ma na celu wskazać, że zdroje Truskawieckie są skuteczne w gośćcu, w zapaleniach stawów i róży w twarzy. Obserwacye meteorologiczne ograniczają się tylko do podania stanu nieba i ciepłoty, za to ulepszenia wykonane lub wykonać się mające wylicza autor punktami w liczbie 23 z taką dokładnością, że nie pomija nawet zakupienia „nieco dogodnych, wyścielanych mebli do jednego z lepszych pomieszkań“, lub opatrzenia pomieszkań firankami.

III. Sprawozdanie z ruchu i postępu zakładów zdrojowych leczniczych w Szczawnicy z r. 1875, przez Dr. O. Trembeckiego, lekarza zdrojowego. Kraków. 1876. str 22.

156] Tegoroczne sprawozdanie Dra T. jest pod wieloma względami dalekolepsze od poprzednich, co w obec sędziwego wieku autora tém bardziéj zasługuje na uznanie. Widać w nim wytrawnego praktyka, któremu wprawdzie trudno jest podążyć równym krokiem z nauką, który jednakże nie zasklepił się w tém, czego nauczył się na ławie szkolnéj i nie lekceważy nowszych zdobyczy naukowych. Sprawozdaniu temu można wprawdzie wiele zarzucić, jednakowoż brak wszelkiéj napuszystości i przesady i rzetelna chęć przedstawienia przedmiotu we właściwém świetle obok wykładu dosyć jasnego i braku jakichkolwiek usterek przeciwko loice lekarskiéj nakazują nam być względniejszymi w krytyce.

IV. Sprawozdanie z ruchu i postępu w Zakładzie zdrojowo-kąpielowym w Żegiestowie w czasie pory zdrojowéj w r. 1875. Skreślił Dr. T. Szczepański, lekarz zdrojowy. Kraków 1876. str 23.

157] Praca ta także nie zupełnie zasługuje na pochlebną krytykę, lubo widać w niéj chęć okraszenia nagich cyfer ogólnemi uwagami. Oprócz zwykłego sprawozdania administracyjnego, wyliczenia ulepszeń w zakładzie dokonanych i skąpych dat meteorologicznych, przytacza autor krótkie uwagi ogólne o blednicy i o sposobie leczenia takowéj w zdrojowisku Żegiestowskiém. Uwagi o blednicy nie mają najmniejszego znamienia pracy oryginalnéj, lecz są zlepkiem wiadomości pozbieranych dorywczo z podręczników patologii a przeważnie z dzieła Beneckego o zboczeniach w przemianie pierwiastków. Jedno tylko zdanie jest oryginalne, że blednica powstająca po utracie krwi, długotrwałém ropieniu, białkomoczu i t. p. nie jest blednicą w ścisłém tego słowa znaczeniu, lecz niedokrewnością. Autor chcąc zdanie to udowodnić, powinien przedewszystkiém badać ilość ciałek krwi i stosunek ciałek czerwonych do białych w podobnych przypadkach, co obecnie da się łatwo uskutecznić sposobem Malasseza. Ustęp o sposobie leczenia blednicy zdrojami Żegiestowskiemi nie zawiera nic zdrożnego, brakuje tylko szczegółowych wskazań i przeciwwskazań do użycia pojedyńczych czynników leczniczych.

V. Wiadomość o zakładzie kąpielowym u wód słonych jodo-bromowych w Rabce. Skreślił Dr. I. Kopernicki. Kraków. 1876. str. 13.

158] Autor, używający jako anatom i antropolog sławy europejskiéj i, jak się to często u nas zdarza, bardziéj ceniony za granicą, aniżeli we własnym kraju, ogłosił w roku 1872 sprawozdanie z Rabki, które pod wieloma względami nazwać trzeba pracą wzorową. W roku obecnym nadał on swemu sprawozdaniu skromniejszy rozmiar, albowiem ograniczył się tylko do części administracyjnéj i statystycznéj. Tém samém usuwa się tegoroczne spraw. od krytyki, któréj obowiązkiem jest tylko podnieść spostrzeżenia meteorologiczne, obejmujące także ciśnienie powietrza i ilość wody opadłéj. Do skrócenia sprawozdania skłonić musiały autora zapewne ważne powody, których wyjawianie przechodzi zakres krytyki.

VI. Sprawozdanie z pory zdrojowéj w zakładzie wód mineralnych słono-gorzkich-siarczano-alkalicznych w Solcu za rok 1875 przez Dra Wyrzykowskiego, lekarza zdrojowego. Gaz. lek. XX. N. 21, 22. 1876.

159] Dr. W., znany na polu piśmiennictwa lek. polskiego i używający imienia dobrego lekarza, przedstawił w powyższéj rozprawce stan Zakładu co do urządzeń i ulepszeń w r. 1875 dokonanych, wymienił rodzaje chorób leczonych w porze zdrojowéj i przytoczył opis kilku przyp. chorobowych. Głównym zarzutem, jaki mu uczynić można, jest lakoniczna krótkość, tém dotkliwsza dla czytelnika, że autor obiecuje dopiero późniéj podać uwagi odnoszące się przeważnie do kiły i chorób nerwowych. Ró-

wnież znajdujemy tylko skąpe uwagi ogólne, tak pożądane w każdém sprawozdaniu zdrojowém. Inne zarzuty są tylko podrzędnego i więcéj formalnego znaczenia. Podział chorób nie jest zupełnie ścisły, i tak np. wysięki zapalne w jamie brzusznéj pomieszcza autor pomiędzy chorobami miejscowemi, podczas gdy stosowniejsze znalazłyby miejsce między chorobami narządu trawienia; blednicę i bielicę zalicza do „zakażeń“ krwi, na co w żaden sposób zgodzić się nie można. Zapatrywaniu się na bielicę jako chorobę następową, rozwijającą się skutkiem wadliwego odżywienia, nic zarzucić nie można, i owszem ze stanowiska praktycznego zapatrywanie to ma wiele za sobą; jednakowoż może za śmiałém jest twierdzenie autora, że bliższą przyczyną bielicy jest nagromadzanie się w ustroju pierwiastków zużytych. Za to pochwalamy zabiegi usuwania sérowato przeobrażonych gruczołów za pomocą wstrzykiwań kwasu octowego lub azotanu srebrowego; zapewne późniéj przedstawi nam autor wyniki doszczętnego leczenia za pomocą wyłuszczenia nożem.

VII. **Sprawozdanie 18te z chorób leczonych w Busku, w czasie pory kąpielowéj 1875 r. ze szczególném uwzględnieniem przymiotu, przez Dra Dymnickiego,** lekarza zdroj. Pamiętnik. Tow. lek. warsz. 1876. Zesz. IIgi

160] Tylko małą część obszernego sprawozdania o 120 str. druku zajmują szczegóły, dotyczące ogólnéj statystyki zdrojowiska, reszta poświęcona jest ponajwiększéj części kazuistyce. W ogóle pochwalić trzeba całe sprawozdanie pod względem dokładności opisu przyp. chorobowych, ścisłości rozumowania i staranności w opracowaniu. Wszędzie widać lekarza pilnego, zajmującego się z zamiłowaniem zdrojem i chorymi, i obznajomionego z literaturą. Literatura zagraniczna nie powstydziłaby się takiéj rozprawy balneologicznéj, lubo takowa nie zawiera żadnych badań teoretycznych, lecz ogranicza się tylko do przedstawienia w sposób przystępny i zrozumiały dla każdego lekarza kazuistyki leczonych chorób. Oceniając najważniejszą część pracy, tj. ustęp o kile, przedewszystkiém zgodzić się musimy z autorem, że wcieranie szaruchy obok leczenia zdrojowego w Busku może szybciéj usunąć zmiany kiłowe; nie możemy jednakże zamilczéć, że skutek zależy także w wysokim stopniu od sposobu, w jaki wykonywane bywają wcierania. Jeżeli przypuścimy, że połowa wcierań nie bywa robioną w sposób należyty,—a mówimy to z doświadczenia — to pewną część pomyślnych wyników leczenia w Busku odnieść możemy do dokładnego stósowania tego potężnego środka pod okiem tak biegłego jak Dr. D. lekarza. Na wynik leczenia wpływa także zapewne ilość szaruchy, któréj autor częstokroć nie skąpi, jak niemniéj ilość wcierań, któréj autor nie ogranicza naprzód do pewnéj liczby, jak to czynić zwykło wielu lekarzy. Nakoniec świéże powietrze, uregulowana dyeta i

ścisły nadzór lekarski muszą przyczyniać się także do korzystniejszych wyników leczenia.

W tym dziale najważniejszym musimy jednakże zrobić autorowi kilka zasadniczych zarzutów. Autor popadł widocznie w zapał do wcierań szaruchy i stósuje je tak często i tak dosadnie, że zdawaćby się mogło, że mimo zapewnienia na str. 226 wymienionego, uważa rtęć jako środek leczący kiłę, tj. niszczący jad kiłowy bezpośrednio, nie zaś jako środek usuwający zmiany kiłowe i łagodzący przebieg choroby pod względem pojawiania się zmian następowych. Powtóre autor jest nadzwyczaj skorym do rozpoznania kiły lub odnoszenia jakichkolwiek zmian do przebyłéj kiły, czém zbliża się do wielu specyalistów syfilidologów, którzy mając ciągle do czynienia z kiłowymi, domyślają się wszędzie kiły. Wytykamy to autorowi w jak najlepszéj wierze, wiedząc, że i tak wielu lekarzy nie wierzy dotąd w skutki połączonego leczenia przeciwkiłowego z leczeniem zdrojowém, a jeszcze bardziéj zrazić się może zbytnią pochopnością autora do rozpoznawania kiły i stósowania wcierań. Kilka przykładów przytoczymy w celu usprawiedliwienia naszego zdania: i tak w przypadku głuchoty (str. 222) ulega autor naleganiu chorego i zarządza wcierania nie będąc przekonanym o podstawie kiłowéj; w przyp. syfilofobii (str. 236) używa wcierań w celu zaspokojenia chorego; zapalenie tęczówki u chorego, który przebył kiłę nazywa „swoistém", nie nadmieniając, czy znalazł kilaki na tęczówce *(iritis gummosa)*; przypadek chorobowy na str. 242 uważa jako kiłę odziedziczoną, lubo przypadek ten da się zarówno pojąć jako zołzy znacznego stopnia, co bynajmniej nie sprzeciwia się faktowi stwierdzonemu tylokrotnie, że rodzice kiłowi płodzą częstokroć dzieci zołzowe; jeszcze mniéj podstaw ma rozpoznanie kiłowego zapalenia śródsierdzia i tętnic mózgowych (str. 243), oparte na podstawie domniemanego rozpoznania kiły wrodzonéj, jaką okazywać miało dziecko; rozpoznanie osutki kiłowéj podobnéj do łupieża *(S. pityriasiformis)* opiera autor na podstawach ogólnych i na braku swędzenia, podczas gdy łupież pstry pojawić się tylko może u człowieka kiłowego, a jedyną pewną cechą odróżniającą jest obecność lub brak grzybków przy badaniu drobnowidowém. Wyrażenia, że nadczułość występuje w postaci mrowienia lub że kąpiele w gośćcu działają także za pomocą napięcia elektrycznego, chcemy uważać tylko za omyłki.

Z wieloma zapatrywaniami autora zgadzamy się jak najzupełniéj np. ze zdaniem jego o szankrze wrzekomym, o późném pojawieniu się kiły wrodzonéj, o kołtunie; jak niemniéj uwydatnić musimy zdanie o zaletach chininy podczas leczenia rtęciowego.

Rozprawę Dra D. polecamy uwadze lekarzy, osobliwie praktykujących u wód.

VIII. Iwonicz. Rok 1875. Napisał Dr. B. Lutostański, Czł. kom balneol. Czł. nadz. Akad. Umiej., Rady zdrowia krak. Kraków. 1876.

161] Część I (str. 39) obejmuje sprawozdanie lekarskie z pory zdrojowéj w r. 1875, część II (str. 42) umieszczona także w „Medycynie“ omawia stosunek miesiączkowania i jego zboczeń do zołzów, i leczenie zdrojowo-kąpielne tychże zboczeń na tle zołzowém pojawiających się; część III (str. 9) zawiera program prac komisyi balneologicznéj, utworzonéj przy Akademii krak. Jest to więc zbiór trzech rozpraw, nad któremi z osobna zastanowić się musimy.

Właściwe sprawozdanie zdrojowe obejmuje obok dat statystycznych i administracyjnych, zwykłych w sprawozdaniach zdrojowych, częściowy program autora, w którym określa zadanie lekarza zdrojowego i sposób badania właściwości klimatycznych zdrojowiska, własności fizycznych i skutków fizyologicznych zdrojów, jakotéż sposób zbierania dokładnych dat statystyczno-lekarskich. Gdyby program ten, ze wszech miar chwalebny, mógł być rychło przeprowadzony, przyszlibyśmy z czasem do dokładnego i wszechstronnego poznania tak ważnego, jak Iwonicz zdrojowiska. Przedewszystkiem podnieść i pochwalić musimy wprowadzenie w życie prawdziwéj stacyi meteorologicznéj, zamiar urządzenia stacyi leśnéj, oznaczanie ciepłoty i ilości wody w zdrojach, a nadewszystko ponowienie rozbioru wód przez tak sławnego i biegłego jak Prof. Radziszewski chemika, nakoniec zamiar badania wpływu wód i kąpiel Iwonickich przynajmniéj w początkach na ciężar ciała, tętno, ruchy oddechowe i składniki moczu. Również pożądaném jest ponawianie od czasu do czasu w sprawozdaniach zdrojowych zestawienia składu chemicznego wód z wodami podobnego składu, jak niemniéj krótkie wymienienie ogólnych wskazań do użycia leczenia zdrojowego, jak to uczynił autor.

Jak z jednéj strony zestawienie dat meteorologicznych zdrojowiska z lat ubiegłych dokonane przy pomocy Prof. Wierzbickiego rzuciło należyte a korzystne dla zdrojowiska światło na stosunki klimatyczne, tak z drugiéj strony brak zupełny spostrzeżeń meteorologicznych z r. 1875, lubo pochodzi z przyczyn nie zawisłych od autora, jest dotkliwym uszczerbkiem dla zdrojowiska. Między obowiązkami lekarza zdrojowego nie zamieścił autor obowiązku badania własności fizycznych i skutków fizyologicznych wszystkich czynników leczniczych zdroju, podczas gdy na inném miejscu wspomina, że sam takowe przedsiębrać zamierza. Również uderza nas zupełne pominięcie zdrojowisk krajowych w zestawieniu składu chemicznego solanek i wód słonych jod i brom zawierających ze zdrojami Iwonickiemi.

Część IIga jest rozprawą znakomitą, która wyjaśnia w sposób ściśle naukowy i przekonywający dotychczas bardzo mało opracowaną spra-

wę wzajemnéj od siebie zależności zołzów i zboczeń w miesiączkowaniu i podaje ściśle naukowe zasady leczenia zdrojowego tychże zboczeń. Pracą tą udowodnił autor ponownie, że zna dokładnie literaturę lekarską, że posiada szérszy pogląd na sprawy chorobowe, że nie zasklepia się w jednostronnym kierunku anatomo-patologicznym, lecz korzystając krytycznie z nowszych badań doświadczalnych jest w stanie wydobyć na jaw i uwydatnić nowe a trafne poglądy i takowe zużytkować z korzyścią dla terapii. Część ta sprawozdania Dra L. jest bezsprzecznie najlepszą rozprawą, jaka w ostatnich czasach pojawiła się na polu balneologii krajowéj i powinna być wzorem dla każdego lekarza zdrojowego. Nie mogąc streszczać całéj rozprawy, wymienimy tylko kilka zasadniczych zdań. Autor uważa zołzy jako następstwo przewlekłych zmian w mięszaninie cieczy czyli soków krążących w ustroju; zmiany te idąc w ślad za Beneckem wywodzi z właściwego opóźnienia lub osłabienia przemiany materyi, a jako ostateczną przyczynę takowych uważa upośledzenie unerwienia. Miesiączkowanie pojmuje autor według teoryi Beigla jako sprawę niezależną od owulacyi, lecz jako okresowe przekrwienie narządów płciowych, zależne od podniety nerwowéj, wywołanéj okresowo pojawiającym się popędem płciowym. Na podstawie tych dwóch zdań wyprowadza i rozwija autor wniosek najważniejszy i dotychczas przez nikogo tak stanowczo i dosadnie nie postawiony, że ostateczną przyczyną zboczeń miesiączkowania u kobiét zołzowych jest upadek innerwacyi, pociągający za sobą nieprawidłową mięszaninę soków odżywczych i upośledzenie odżywienia całego ustroju, a więc i części płciowych. Odnośnie do tego zapatrywania wynikają dwa główne wskazania lecznicze, które autor szczegółowo rozwija, a mianowicie wzmocnienie innerwacyi, a tém samém polepszenie odżywienia, przez draźnienie za pomocą kąpiel przyrządu nerwowego skóry i przyspieszenie przemiany materyi za pomocą wewnętrznego używania wód lekarskich. Wody Iwonickie czynią w zupełności zadosyć tym wskazaniom. Pisząc się jak najzupełniéj na powyższe wywody autora, podnieść musimy jeszcze chociażby kilka zdań wielkiéj doniosłości praktycznéj, a mianowicie ważność zmian w miesiączkowaniu ze względu na rozpoznanie i przebieg zołzów, wielką ważność leczenia tychże zboczeń ze względu na możność zapobieżenia chronicznemu zapaleniu macicy, nakoniec ogólne wskazówki, odnoszące się do leczenia ogólnego zboczeń w miesiączkowaniu, które to zdania autor jasno i dobitnie rozwija. Z materyału chorobowego, jakim rozporządzał jako lekarz zdrojowy w Iwoniczu, wyciąga autor wnioski co do częstości i jakości pojedyńczych zboczeń w miesiączkowaniu u kobiét zołzowych, do czego dołącza kilka treściwych opisów kazuistycznych.

Tylko z dwoma zapatrywaniami autora nie zupełnie możnaby się

zgodzić. Wiek pokwitania ma według autora stanowić ważny czynnik patogenetyczny w „powstawaniu“ zołzów. Jakąkolwiekby kto wyznawał teoryę zołzów, czy nerwową, czy humoralną, czy solidarną, zgodzi się zapewne z tém, że zboczenie ogólne odżywcze (objawiające się wielką skłonnością tkanin do wytwarzania za działaniem nawet słabych bodźców zmian zapalnych lub przerostowych, które okazują wielką skłonność do przeobrażenia się wstecznego), które w krótkości zołzami zowiemy, istnieć musi jako tak zwane zołzy utajone jeszcze przed pokwitaniem i że okres pokwitania jest tylko jednym z czynników, które nasilają utajoną dotąd chorobę tak, że takowa zaczyna się objawiać na zewnątrz wybitnemi zboczeniami miejscowemi. Zapatrywanie to zgadza się zresztą zupełnie z pojęciami ogólnemi autora o zołzach, który przyczyny ich upatruje w przewlekłém zboczeniu mięszaniny soków odżywczych. Zgadzając się z wywodami autora, jak tłómaczyć należy niekorzystny wpływ zatrzymania miesiączki na sprawy odżywcze, zmienićby można w ten sam sposób drugie twierdzenie, że zatrzymanie miesiączki staje się nieraz nie „przyczyną“, lecz powodem wyjawienia się ukrytych dotąd zołzów.

Program prac komisyi balneologicznéj zamieszczony w części IIIéj został przyjęty przez kom. baln., a jeżeli tylko część zadań tamże wymienionych zostanie spełnioną, podniesie się znakomicie naukowa strona naszéj balneologii krajowéj. *Z.*

Poezya.

Sofoklesa tragedya Edyp w Kolonie. Przekładał J. Czubek. Tarnów. W drukarni Józefa Styrny. 1876. (Odbitka z Sprawozdania gimnazyum tarnowskiego r. 1876.) str. 69. 8vo.

162] Są tłómaczenia, które aczkolwiek nie stoją na równi z oryginałem, przecież w istocie rzeczy wielki przynoszą pożytek; cięższe, nie zajmą większego czytelników koła; skrupulatny uczony dostrzeże, iż znacznie od pierwowzoru odbiegły. Ale znajdą się w nich ustępy lepiéj lub całkiem dobrze oddane, a kto się później o poprawniejsze dokonanie téj saméj pracy pokusi, ma drogę z grubsza utorowaną, robotę ułatwioną, a tém samém w równych zresztą z poprzednikiem warunkach, może bliżéj doskonałości stanąć.

Tak się rzecz ma z Edypem w Kolonie, celnym utworem heleńskiego wieszcza. Wydał go po polsku Eliaszewicz w Wilnie r. 1829, napisał górno nastrojonym językiem, retorycznym, przypominając naśladowców klasycyzmu francuzkiego. Do tego znacznie od tekstu odstąpił. Drugi znany nam przekład ukazał się dopiéro w r. 1856, zasłużonego dziś tłómacza dzieł klasycznych i wytrawnego krytyka, p. Kaszewskiego. Wierność tu więcéj zachowana, ale nie dość swobodny tok mowy. Więcéj ści-

śle jeszcze trzymał sie tekstu p. Węclewski w zbiorze tragedyj Sofoklesa wydanym w Poznaniu r. 1875. Jeżeli już język obu poprzednich tłómaczy tchnie duchem prawdziwéj polszczyzny, to u p. Węclewskiego znachodzimy uroczystą powagę mowy naszéj, którą dziś tak rzadko można napotkać. Przyznając tę zaletę nie możemy przemilczéć, że czujemy w przekładzie p. W. brak potoczystości, co nie jednego nawet z oświeconych od czytania odstręcza.

Ostatnie tłómaczenie p. C. nie może pochlubić się zaletami poprzednich;—znać to, że autor nie ma w swéj mocy takiego języka, jak szczególnie pp. Kaszewski i Węclewski,—ale podnosi je ta bardzo dobra strona, że czyta się płynnie. Swobodę i naturalność udało się p. C. prawie wszędzie utrzymać i ztąd pochodzi, że zwłaszcza ustępy gorętszém nacechowane uczuciem każą zapomniéć, iż to przekład, słowo nas porywa, wierzymy, że osoba tam a tam mówiąca i wśród takich okoliczności, takby rzeczywiście swoim uczuciom wodze rozpuściła. Opieramy nasze twierdzenie na ustępach takich, jak prośba Antygony w pierwszym chórze (od wiersza 241), przekleństwo Edypa rzucone na Polynejkesa (od wier. 1401) i innych podobnych. Podnosimy tę zaletę tém bardziéj, że bez niéj niknie urok przekładu. Stara to jak świat prawda, że jedna i ta sama myśl w piękną i dosadną, albo w niezręczną szatę przybrana zyskiwa lub traci, czyni silne wrażenie, albo bez skutku przemija.

Trudniéj było tłómaczowi sprostać poecie w szczytniejszych chórach. Sofokles w nich wyczerpnął swoją siłę w śmiało utworzonych wyrazach, odważnych konstrukcyach słów i zdań ze sobą, p. C. przełożył je jasno i poprostu np. chór od w. 669 i od w. 1211; w ten sposób chociaż nie zginęły myśli, a zrozumiałość zyskała, spełzła przecież i osłabła ich siła, zmalała uroczysta powaga, jaką tchną w greckim oryginale.

Gdyby nareszcie chodziło o wskazanie drobnych usterek, wspomnielibyśmy, że opuszczono n. p. wiersz 309, 570 z greckiego tekstu, dodano za to już po wierszu 325 i w wierszach 390, 407, 1303, 1664 w tłómaczeniu wyrazy nie znajdujące się w tekście, a wiersze 332, 1225 i 1226 uległy zmianom. Takich usterek łatwo znaleźć więcéj, dodaćby do nich można tu i ówdzie niezręczne wyrażenie, jakby naciąganie dla uformowania wiersza, ale to są drobnostki w obec całości mało znaczące.

Wiersz 11to zgłoskowy obrany dla dyalogu odpowiada najbliżéj trymetrowi jambicznemu; rytm grecki naśladować byłoby mozolną i nie wiem czy wdzięczną pracą, a wspomniany wiersz w polskim przekładzie tém celuje, że objętość jego nie wiele się od greckiego różni.

Sądząc po całości wrażenia, jakie przekład sprawia, można śmiało twierdzić, że nawet w szerszéj publiczności znajdzie dobre przyjęcie i życzyć sobie tylko wypada, aby tłómacz obdarzał literaturę nowemi nadal podobnemi pracami.

Umieszczenie przekładu w gimnazyalnym programie naprowadza mimowolnie na myśl, że gdyby co rok kilka gimnazyów podobne umieściło prace, mielibyśmy zwolna znaczny poczet przekładów autorów klasycznych uzupełniający dotkliwe dotąd pod tym względem braki. *L. K.*

Wydawca: **Wł. L. Anczyc.** — Redaktor odpowiedzialny: Prof. **W. Zakrzewski.**